

staszic **kurier**

styczeń 2012



W tym numerze:

STRASZNY PIĄTEK

str. 5

KTO MIECZEM WOJUJE...

str. 8



Od Naczelnych:

Niedawno zaczęliśmy nowy, 2012 rok, a już niedługo ferie zimowe. Przerwa między nimi a świętami jest w tym roku wyjątkowo krótka. Już za nami Boże Narodzenie i Sylwester, w trakcie którego najpewniej każdy z Was, drodzy czytelnicy, świetnie się bawił. Rozpoczęły się już drugie etapy olimpiad przedmiotowych, trwają lekcje poloneza przygotowujące maturzystów do zbliżającej się studniówki, a Staszic Kurier wydaje kolejny numer!

Interesowaliście się kiedyś **mieczami**? Mateusz napisał bardzo ciekawy tekst opisujący w przystępny sposób historię i budowę różnych rodzajów tej występującej niemalże w każdej epoce broni. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej, koniecznie zajrzyjcie na stronę **8**.

Nasi rodacy mają skłonność do narzekania na wszystko, co się rusza. Na śnieg, brak śniegu, deszcz, brak deszczu. Przykłady można mnożyć. Dominik, zwykle zajmujący się korektą, napisał krótki artykuł o takim właśnie **polskim hejcie**. Możecie się z nim zapoznać na stronie **7**.

Jaki mamy dziś dzień? Tak, to **piątek trzynastego**, straszniejszy od Halloween. Tych wszystkich, którzy z emocji z nim związanych nie mogą już usiedzieć na miejscu, zapraszam na stronę **5**. Znajdziecie tam tekst opisujący pokrótce historię tego przesądu oraz jego miejsce w kulturze. Boisz się czarnego kota?

W niedzielę odbył się XX Finał **WOŚP**. Nasza szkoła brała w tym wydarzeniu czynny udział, organizując w tym dniu wiele atrakcji. Relację z tego, co w Staszycu się działo, znajdziecie na stronie **19**.

Postać Jana Pawła II kojarzy nam się przede wszystkim z jego pontyfikatem papieskim, mnóstwem pielgrzymek i wielką misją. Niektórzy wiedzą, że Karol Wojtyła za młodu parał się aktorstwem. Jeszcze mniejszą część społeczeństwa kojarzy go z **dziennikarstwem**. Jeśli zajrzyjcie na stronę **12** znajdziecie tam pierwszą część omówienia pewnej pracy opisującej ten aspekt życia Papieża Polaka.

Tak – już w tym numerze ostatnia część polemiki Kmicica ze Zwolinem. Z pewnością wszyscy już dawno zapomnieli, o co poszło, ale tak czy siak – poszukajcie na stronie **16**.

Jeżeli macz ciekawe pomysły, lubisz pisać, rysować lub po prostu macz jakieś hobby czy rozległą wiedzę z jakiejś dziedziny i chciałbyś się nią podzielić – pisz do nas! Czekamy na Was wszystkich, bo StaszicKuriera tworzy i tworzyć będzie cała społeczność XIV LO!

Piszcie na kurier@staszic.waw.pl

Spis treści

Savoir-vivre	4
Straszny piątek	5
(Niezbyt) Fair Trade	6
Zupa (za stawa) a sprawa polska	7
Kto mieczem ugnije, od miecza ginie, czyli mecz o broni białej	8
Blogostawiony Jan Paweł II jako dziennikarz i (współ)redaktor część I	12
Świąt baśni	15
Dzieje narodu polskiego Pdemki Kmicica ze Zrdniem część trzecia	16
Rok 2012	18
XX Finał WOSP w Staszcu	19
Suq	20

Savoir-vivre



Ostatnio na godzinie wychowawczej mieliśmy wykład o savoir-vivre. Natchnęło mnie to do napisania o tym, by większa część osób mogła skorzystać i uświadomić sobie pewne sprawy. Zaczę od czystości. Ponieważ higiena osobista jest ważna zarówno w szkole, pracy, na spotkaniu i oczywiście w domu. Nie ma tak, że w domu jesteśmy brudasami, a na zewnątrz czystoszkami. Nie wolno być pełnym sprzeczności. Dobre wrażenie jest bardzo ważne. Warto już teraz uczyć się higieny, by na przyszłość stało się to rutyną. Nie chcemy chyba zapomnieć o prysznicu przed sesją czy rozmową o pracę.

O czym więc powinniśmy pamiętać?

- po wyczerpującym WFie bierzemy prysznic (nie zapominamy także o codziennym myciu się każdego wieczora),
- używamy antyperspirantów (! – a nie dezodorantów, które mają słabsze działanie) – zmniejszają pocenie i zapobiegają przykremu zapachowi, szczególnie po WFie i w upalne dni,
- gdy zjemy kotleta nadziewanego oregano z czosnkiem – myjemy zęby (a także przynajmniej po śniadaniu i kolacji), w razie czego możemy posilić się gumą (jednakże mycie zębów dwa razy dziennie to minimum!),
- regularnie odwiedzamy fryzjera i nie straszymy lwią grzywą na korytarzach szkolnych,
- nie obgryzamy paznokci (chyba,

że nikt nie widzi lub nie stać nas na obcinacz),

- nie dłubiemy w nosie na lekcji – to niekulturalne i niesmaczne,
- myjemy włosy co 2-3 dni i po wysiłku,
- do chłopców: golimy się (!), chyba, że mamy ładny i zadbany zarost.

Zadbajmy także o estetykę ubrań:

- nie nosimy jednej koszulki dłużej niż dwa dni w okresie późna jesień – wczesna wiosna i dłużej niż jeden dzień w okresie ciepłych dni,
- po każdym WFie pierzemy strój,
- pierzemy (!) swoje ubrania, a nie wystawiamy przez okno by wywietrzały,
- warto zmieniać skarpetki na WF i używać specjalnych dezodorantów do butów,
- ubrania prasujemy, nie nosimy wymiętych i nie żujemy ich w celu wygniecenia,
- leginsom mówimy stanowcze NIE (chyba, że na wf i oczywiście tylko dziewczęta),
- nie nosimy za małych rzeczy (za duże mogą jeszcze ocierać się o modę).

Kolejną ważną sprawą jest kultura osobista:

- nie przeklinamy w obecności kobiet (kobiety to już w ogóle),
- mówimy dzień dobry wszystkim napotkanym pracownikom szkoły,
- z przyjaciółmi i znajomymi witamy się jak chcemy i uważamy (bądźmy jednak świadomi, że mogą nas zniechęcić),

- jesteśmy szczerzy, nie słodzimy, nie okłamujemy – po co? no pytam się, po co?
- słuchamy innych, nie mówimy tylko o sobie,
- trzymamy na wodzy uczucia, nie cały świat musi wiedzieć, że jest nam smutno,
- staramy się nie być okrutnymi,
- nie obściskujemy się na przerwach, niektórych to gorszy,
- nie otwieramy okien, gdy inni zamieniają się w soplę lodu,
- spożywamy spokojnie, nie wpychamy jedzenia do ust, jakbyśmy nie jedli przez tydzień,
- spożywamy, NIE wchłaniamy,
- nie siorbiemy, nie czkamy, nie bekaemy, nie wydajemy dziwnych odgłosów,
- nie bawimy się długopisem,
- nie krzyczymy,
- nie słuchamy muzyki na lekcji,
- nie opowiadamy nieśmiesznych żartów,
- przynosimy składki klasowe na czas, nie zapominamy o wszystkim,
- zaginamy czasoprzestrzeń i NIE spóźniamy się na WF (ani na żadne inne lekcje),
- nie gramy w Heroesy na lekcjach,
- zawsze jesteśmy pełni energii lub przynajmniej nie udajemy znużonych.

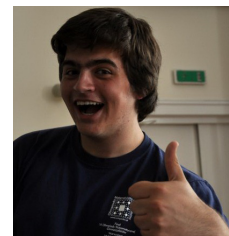
Wymieniać mogłabym w nieskończoność, ale nie o to chodzi. Myślę, że najważniejsze to nie zachowywać się jak zwierzęta i być uprzejmym :)

Życzenia świąteczne ks. prałata Tadeusza Sowy, proboszcza Parafii Najświętszego Zbawiciela

W środę, 4 stycznia 2012 roku, Ks. Proboszcz zaprosił do siebie na spotkanie dyrektorów wszystkich szkół mieszczących się na terenie parafii. W bożonarodzeniowym spotkaniu uczestniczyło liczne grono nauczycieli religii. Po wspólnym kolędowaniu Ks. Proboszcz przekazał serdeczne życzenia wszystkim obecnym oraz dla całego środowiska szkolnego, w tym również dla uczniów.

Przypomniał, że wartością jest współpraca Kościoła i szkoły w wychowaniu młodego pokolenia. Wszyscy składali sobie życzenia. Uzgodniono również terminy i programy rekolekcji wielkopostnych. **Liceum Staszica będzie mieć swoje szkolne rekolekcje w dniach 19 -21 III.**

Straszny piątek



JAKUB MROZEK

Zanim zaczniesz czytać ten artykuł, spójrz w kalendarz. Jaki mamy dziś dzień? Nie, nie chodzi o to, jaka ważna postać historyczna urodziła się lub zmarła, chociaż było ich całkiem sporo. Nie chodzi również o rocznicę żadnego doniosłego wydarzenia, bitwy, pokoju czy koronacji. Pisząc te słowa, nie mam również na myśli żadnego święta – wprawdzie mieszkańcy Togo obchodzą Dzień Wolności, ale kraj ów leży bardzo daleko od nas i, póki co, nie mam zamiaru o nim wspominać. Krótko mówiąc, ważny jest nie miesiąc – mój artykuł dotyczył będzie dnia tygodnia.

Tak, Drodzy Czytelnicy – dziś jest owiany grozą, tajemniczy i niezwykle dzień – piątek trzynastego. Powszechnie wiadomo, że za każdym razem, kiedy nadchodzi ta data, dzieją się straszne rzeczy. Wszystko, co ma szansę się nie udać, nie udaje się. Z nieba spadają fortepiany i kowadła, miażdżąc skulonych, przemykających wąskimi uliczkami, obawiających się o własne życie i jednocześnie niczego nieświadomych przechodniów. Maszyna losująca w Multi Multi zaciną się albo po prostu nikt nie trafia kombinacji przynajmniej siedmiu poprawnych liczb. Dzieci nie chcą jeść, a w drodze do przedszkola wszystkie co do jednego – jak północnokoreańscy żołnierze – potykają się o skórki od bananów. Wszyscy pilni uczniowie dostają tego dnia słabe oceny, nie udaje się żadna piątkowa impreza. Dobrze prowadzone firmy z niewiadomych przyczyn bankrutują, prowadzący zdrowy tryb życia ludzie zniemacka chorują na raka. W sklepach kończą się zapasy naszych ulubionych czekoladowych batonów – nie uświadczymy również ani jednego słoika dżemu.

Wszystkie wyżej wymienione wydarzenia mają dwie cechy wspólne: po pierwsze – są bez wyjątku niesamowicie pechowe. Po drugie, co niemniej ważne – nie dzieją się. A już na pewno

nie na taką skalę. Lęk związany z piątkiem trzynastego nie jest racjonalny, tak samo zresztą jak ten związany z czarnymi kotami, zbijaniem zwierciadeł czy przechodzeniem pod drabiną. Te i inne przesady można z powodzeniem nazwać produktem ubocznym naszej budowanej przez wieki kultury, choć wiele z nich powstało całkiem niedawno. Wywodzą się one bowiem z różnych tradycji i rytuałów kulturowanych przez pewien okres czasu aż do momentu, w którym całkowicie straciły sens, lub z wierzeń i zabobonów, które sensu nie miały nigdy.



Jak to było z tym nieszczęsnym piątkiem?

Popularna geneza tegoż przesądu wiąże się z piątkiem 13 października 1307 roku, kiedy to król Francji Filip IV Piękny zarządził kasatę zakonu templariuszy, aresztując wszystkich jego członków pod zarzutem kultu szatana i innych niegodnych zakonników, bluźnierczych praktyk. W tym celu wykorzystano uprzedzenia wobec Zakonu Świętyni szerzone wcześniej przez inkwizycję, której jednak nie udało się nic zdziałać, gdyż zakonnicy podlegali bezpośrednio papieżowi. W ciągu jednego dnia, podczas niezwykle skomplikowanej logistycznie operacji, w kajdany

zakuto ponad 15000 templariuszy. Tak naprawdę powody tej akcji politycznej były inne. Francuski król był zadłużony u zakonników i nie miał ochoty obciążać skarbu państwa kosztami spłaty tego kredytu. Poza tym, został przez nich pewien czas wcześniej obrażony, kiedy Zakon Świętyni odrzucił jego kandydaturę na honorowego członka. Filip miał również chrapkę na skarb templariuszy, który w roku 1306 widział na własne oczy, a którego nigdy nie udało mu się zdobyć. Najważniejszym powodem było jednak bezpośrednie zagrożenie ze strony templariuszy, którzy chcieli ustanowić w Langwedocji, stanowiącej część korony francuskiej, państwo zakonne. Jako że Filip IV był lepszym, bardziej pozbawionym skrupułów politykiem od Konrada Mazowieckiego, po prostu na to nie pozwolił, likwidując najlepiej uzbrojoną i wyszkoloną armię ówczesnej Europy.

Teoria ta funkcjonuje w kulturze – także tej masowej. Ja spotkałem się z nią po raz pierwszy czytając w szkole podstawowej komiks z Kaczorem Donaldem autorstwa Carla Barksa. Wykorzystał ją także Zbigniew Nienacki w jednej z powieści z serii „Pan Samochodzik”, jak również wielu innych twórców, których nie będę tu wymieniał. Jednakże przesąd związany z piątkiem trzynastego, a także jego bardziej zaawansowana forma – lęk przed tym dniem, czyli paraskewidekatriafobia – pojawiły się dopiero na początku XX w. Występują jedynie w tych krajach, których tradycja i kultura wywodzą się z Europy Zachodniej i Środkowej, a więc z ziem położonych nad Morzem Śródziemnym.

Strach przed tym dniem został oczywiście na wiele różnych sposobów wykorzystany w kulturze masowej. Jednym z pierwszych był film „Friday the 13th” Seana S. Cunninghama z 1980 roku – horror klasyfikowany jako slasher. Nie jest to z pewnością kino ambitne, jednakże w swoim czasie ► ► zdołało przyciągnąć przed ekrany

kin wielu widzów spragnionych nieskażonej inteligencją rozrywki. Film od początku był słusznie mieszany z błotem przez krytyków, jednak ze względu na niezaprzeczalny klimat został po latach uznany za dzieło kultowe – epitetu tego stanowczo się w dzisiejszych czasach nadużywa. Obraz ów doczekał się wielu sequeli i remake'ów – ostatni powstał w roku 2009.

Niezwykłą popularność zdobył również niezbyt wyrafinowany żart, jakoby w roku 2010 Sylwester wypadał w piątek 13. Bez względu na absurdalność tego podejrzenia, w wielu sytuacjach udawało się wkręcić rozmówcę. Parę osób o przytomnych umysłach nie dało się mimo wszystko złapać w tę chytrą pułapkę, w porę spostrzegając, że wtedy musiałby on wypaść przed Świętami Bożego Narodzenia!

Jak często zmuszeni jesteśmy przeżywać ten okropny dzień?

Ze względu na niezbyt regularną ilość dni miesiąca, piątek 13.

może każdego roku wypaść od jednego do trzech razy. Jak nietrudno zauważyć, pojawia się on, o dziwo, zawsze i tylko wtedy, kiedy pierwszym dniem miesiąca jest niedziela. Co niektórzy dopatrzają się w tym miejscu przynajmniej tuzina teorii spiskowych powiązanych z galaktycznym kodem, obcymi cywilizacjami, zimną wojną czy śmiercią Elvise, który wprawdzie nie umarł ani w piątek, ani trzynastego dnia miesiąca, ale to nawiązanie zwykle bywa dobrym pomysłem. Przynajmniej wśród entuzjastów podobnych teorii. Co ciekawe, za każdym razem, kiedy piątek wypada 13., czternasty to sobota, a piętnasty – niedziela. No już, nie wpadajcie w taką ekscytację, jakbym zdradzał Wam najgłębsze tajemnice ludzkości!

Osobliwą częstość występowania tej daty można udowodnić, dowód ów jest jednak bardzo prosty a zarazem zbyt długi, aby go tutaj zamieszczać. Wymaga wypisania dni tygodnia, którymi rozpoczynają się kolejne mie-

siące w roku zwykłym i przestępnym. Pozwala to dojść do wniosku, że każdy dzień tygodnia rozpoczyna przynajmniej jeden miesiąc, dzięki czemu zawsze pojawi się przynajmniej jeden feralny piątek, jak również pokazuje, że w roku występują trójki miesięcy zaczynających się tym samym dniem tygodnia.

Podczas tego obrotu Ziemi wokół Słońca, którego początek wielu z nas z pewnością bardzo uroczyście obchodziło dwa tygodnie temu, piątków trzynastego będzie aż trzy. Oprócz dnia dzisiejszego czeka nas on jeszcze w kwietniu i lipcu.

Wszystkim czytelnikom Staszic Kuriera życzę więc w tym dniu – a także każdym następnym – SZCZĘŚCIA. Wszak wszystko to, co nas spotyka, w większym stopniu zależy od nastawienia do życia niż cokolwiek innego.

Zródło:
<http://www.kosciol.pl/article.php/20071107130520687>

(Niezbyt) Fair Trade

Będąc ostatnio w sklepie, zauważyłem kawę z dziwnym napisem: „Fair Trade” (sprawiedliwy handel). Poczytałem sobie o tej organizacji i zdumiała mnie jej przebiegłość i podstępność, a także niemoralność procederu.

Organizacja kupuje po zawyżonej cenie zbiory u certyfikowanych plantatorów (małych i biednych, uprawiających swoje plantacje prymitywnymi metodami), zapewniając tym samym godziwe zarobki im, jak również ich pracownikom. Nie dotyczy to jednak dużych przedsiębiorstw, które nie mogą uzyskać takiego certyfikatu. Organizacja następnie sprzedaje te produkty po wyższej cenie konsumentom w krajach zachodnich. „Uczciwie”, nie?

Zastanówmy się najpierw nad tym co kupujemy w opakowaniu Fair Trade. Jest to produkt takiej samej jakości jak jego tańszy konku-

rent, czasem nawet gorszy, ponieważ mniejsi przedsiębiorcy mają zwykle słabsze techniki przetwarzania składników. Wyróżnia go tylko znaczek. Znaczek, który ma umożliwić częściowe „wyrównanie szans”. Prześledźmy przykład plantatora kawy z Boliwii. Ów człowiek ma plantację na której uprawia krzewy kawy. Sprzedaje swoje zbiory firmie Fair Trade i może sobie żyć wygodnie, co roku kupuje sobie nowy samochód lub telewizor. Nie inwestuje jednak nic w swoją plantację. Dlaczego? Zmodernizowanie jej odebrałoby mu koncesję Fair Trade i musiałby zacząć konkurować na wolnym rynku, a to wymaga większego wysiłku i ryzyka. W konsekwencji już u podstaw Sprawiedliwy Handel prowadzi do utrwalenia różnic między poszczególnymi regionami gospodarczymi świata, ponieważ dotuje mało efektywne sposoby produkcji.

Dopłaty dla przedsiębiorców nie stanowią jednak całości różnicy

cenowej między produktem Fair Trade a produktem konkurencyjnym. Lwią część zabiera firma nadająca certyfikat. W konsekwencji chcąc pomóc biednym plantatorom napychasz kieszenie zachodnim biznesmenom.

W rozumowaniu twórców Fair Trade jest jednak podstawowy błąd. Kupując towary najtańsze lub gatunkowo najlepsze wspieramy tych przedsiębiorców, którzy stosują najbardziej wydajne metody produkcji i potrafią maksymalnie zmniejszyć koszty. W takich zakładach pracownicy mają szansę na lepsze wynagrodzenie wtedy, gdy będziemy kupować więcej ich produktów.

Oczywiście sama polityka Fair Trade to forma interwencjonizmu i jako taka przynosi długoterminowo zawsze więcej strat niż zysków. Dlatego nie należy pod wpływem emocji, czy chęci „wyrównania szans” kupować produktów oznaczonych jako Fair Trade.



HUBERT OLKOWSKI

Zupa (za słona) a sprawa polska

DOMINIK PLEWA

Wiele stron w SK zostało ostatnio poświęcone opisaniu naszej narodowości czy też jej (nie?)możliwym braku. Jakkolwiek interesujące mogą się wydawać te rozważania, nie można zaprzeczyć, że dużo ważniejsza jest terażniejszość (jeżeli istnieje: w chwili, gdy myślę o terażniejszości, jest już jednak przeszłością – ale nie wdawajmy się w dygresje) i przyszłość naszego PAŃSTWA, bo ostatecznie to ono, a nie przynależność do jakiejś grupy etnicznej, kształtuje warunki naszego życia. Z drugiej strony, coraz częściej zauważam społeczne tendencje niezależne od pochodzenia czy statusu – nie można więc zaprzeczyć, że pewna unifikacja sposobów myślenia nastąpiła już i dalej postępuje. Ostatnio niezdrawa ilość czasu spędzonego przeze mnie przy radiu i w Internecie pozwoliła mi uświadomić sobie prawdę o elementarnym, moim zdaniem, znaczeniu. Jeżeli można stworzyć jakikolwiek mający szerokie zastosowanie stereotyp Polaka (obywatela, nie potomka Słowian, Sarmatów czy innych grup narodowościowych, istniejących bądź nie), to nie jest nim ani popularny alkoholik, ani złodziej, ani nawet promowany w międzynarodowych dowcipach głupek...

Zanim jednak przejdę do sedna mojego wywodu, podtrzymajmy nieco napięcie. Skąd przekonanie o takiej uniwersalności tezy, którą, miejmy nadzieję, w tym artykule stwierdzę? Oczywiście, że względu na przyrodzoną Internetowi anonimowość, niemożliwe jest stwierdzenie, jakie grupy (wiekowe, zawodowe...) do stworzonego profilu psychologicznego pasują. Niemniej tendencje zaobserwowane w radiu i „na żywo”, choć nieraz nieco wytłumione, ukazywały się w wielu przeróżnych osobowościach. Myślę, że gdy poznacie wreszcie („Kiedy on do tego dojdzie? Ten artykuł jest straszliwie nudny...”), o co chodzi, zgodzicie się ze mną. Cóż, niektórzy będą, oczywiście, protestować, ale bez opozycji życie byłoby nudne.

W porządku. Żadnego więcej lania wody. Niemniej artykuł nie skończy się tutaj – jeszcze musicie trochę po-

cierpieć...

Internet do opisu zjawiska, które zamierzam zbadać, ukuł termin, którego źródłosłowem jest angielski czasownik „nienawidzić”. Ponieważ nie ma dokładnego polskiego odpowiednika, pozwólcie, że będziemy posługiwać się spolszczoną wersją. Tworzony przez internautów słownik slangów (miejski.pl) z typowym dla siebie beztróskim kolo-kwializmem podaje dwie definicje:

hejter - „(ang. hater) 1. Zazdrosny koleś, który nie potrafi cieszyć się sukcesem kogoś innego, dlatego próbuje wytknąć jego wszystkie możliwe wady; 2. Anonimowy lamus, który ukrywa się pod nickiem (pseudonimem – przyp. autora), dogryzając wszystkim, najczęściej ludziom popularnym. Swoimi postami (wiadomościami – jw.) zaśmieca sieć”.

Czyż to nie opisuje doskonale tak popularnej postawy wiecznego narzekania i smęcenia, bez względu na okoliczności? Tej przypadłości, przez którą w lato narzekamy na brak śniegu, a w zimę – na śnieg (zaraz, coś tu tutaj nie pasuje...), przez którą rząd, nawet jeśli prowadzony przez naszego faworyta, zawsze robi wszystko nie tak?

Nie to jednak jest dla mnie tak denerwujące. Prawdziwym problemem każdej krytyki jest jej siła argumentu (w niektórych przypadkach również argument siły). Na czym polega problem tutaj? Masa, naprawdę masa z naszego codziennego narzekania nie ma żadnych logicznych podstaw czy konstruktywnych argumentów. Zaraz, zaraz – co to właściwie znaczy: argument konstruktywny?

konstruktywność – „sposób myślenia umożliwiający dochodzenie do prawidłowych wniosków tworzących jakąś nową rzeczywistość” (za Słownikiem Języka Polskiego)

Przełożyć z polskiego na nasze najłatwiej na przykładzie. W mojej okolicy zaczęto ostatnio wreszcie kłaść kanalizację, ale niestety plan nie przewiduje przyłączy, których montaż mieszkańcy muszą załatwić na własną rękę. Mój sąsiad narzeka, że zmusza nas to do dodatkowych kosztów i utrudnień, jednak nie wziął pod uwagę faktu, że gdyby

przyłącza robiła ta sama ekipa, ulice byłyby zablokowane dużo dłużej, a dodatkowe koszty i załatwianie własnych ekip budowlanych i tak jest nie do uniknięcia – najpierw trzeba zdemontować szamba. Jego myślenie zatem nie jest konstruktywne, ponieważ zawiodło go do mylnego wniosku, że obecna sytuacja jest dużo trudniejsza od hipotetycznej.

Konstruktywność jest bardzo przydatna. Przede wszystkim, jeśli wysilicie się, aby znaleźć sensowne argumenty do czegoś, na czym Wam tak naprawdę nie zależy, rozwinięcie kreatywność i poszerzenie myślowe horyzonty. Po drugie, może to zaowocować ciekawą dyskusją, jeżeli macie akurat w okolicy jakiegoś członka Ligi Debatanckiej (tylko nie dajcie się tym emocjonalnym chwytom). Po trzecie i ostatnie, możecie łatwo napisać artykuł zupełnie o niczym, tak jak ja, i zwiększyć objętość Kuriera – szczerze zachęcam, bo wolałbym zająć się korektą.

To co, nie można się tak po prostu wyżyć na Bogu ducha winnych politykach czy pani ze sklepu, która na każdym produkcie szuka przez minutę kodu kreskowego? Można. Tylko po co? Żeby następne pokolenie podtrzymało tradycję i na rządzących dziadów samo zaczęło narzekać? Czy może na przekór mnie? Jeżeli nie potraficie w rozsądny sposób dać upustu emocjom, to najlepiej trzasnąć parę niskokalorycznych zadaneł. Albo zająć się jakimś sportem, ale to takie... niestasz-cowe. No, chyba że to brydż.

Zatem – hejtujmy, ale konstruktywnie i z umiarem.

W ramach ostatniego porywu na wypełnienie strony: jeżeli macie jakieś swoje osobiste hejty, gorąco zachęcam do podzielenia się nimi (oczywiście, w sposób konstruktywny) na łamach SK. Nie musi być długo, ważna jest oryginalność – a noty u koleżanek/kolegów (niepotrzebne nie skreślaj, może ktoś będzie czytał po Tobie) od razu skaczą!). Przy odpowiednio wysokiej liczbie zgłoszeń możemy nawet zrobić jakiś konkurs czy Kącik Hejtera...

KTO MIECZEM WOJUJE, OD MIECZA GINIE – CZYLI RZECZ O BRONI BIAŁEJ



MATEUSZ DZIURZYŃSKI

Naprawdę króciutka historia

Mieczami zaczęto się posługiwać już w epoce brązu i to z tego surowca początkowo je wykonywano. Jak nietrudno się domyślić produkowane były one wówczas z tego właśnie surowca. Pierwotnie były węższe i dłuższe niż te, które znamy chociażby z filmów rycerskich i nadawały się głównie do pchnięć. Z czasem materiał, z którego je wytapiano, zastępowano coraz twardszym, aż w końcu zaczęto wytwarzać miecze żelazne i stalowe.

Rozkwit tej broni przypada na średniowiecze. Potem, ze względu na postęp technologiczny i rozpowszechnienie się broni palnej, miecze podczas bitew były używane coraz rzadziej. Jako ostatnie wyszły z użytku miecze dwuręczne oraz szable – posługiwano się nimi aż do XVII w. W końcu jednak i one zostały całkowicie wyparte przez broń palną, jako bardziej skuteczną podczas bitwy. Mimo to nadal używano ich podczas pojedynków.

Trochę o budowie i obchodzeniu się

Standardowy miecz prosty składa się z dwóch części: rękojeści (I) i głowni (II). W rękojeści wyróżniamy przede wszystkim trzon (2), czyli element, za który powinno się miecz trzymać, oraz jelec (3), oddzielający rękojeść od głowni. Ważna jest również głowica (1), która pełni funkcję przeciwwagi wobec ciężkiej głowni. Dzięki niej środek ciężkości całego miecza przemieszcza się w okolice jelca, co znacznie ułatwia operowanie nim.

Kolejnym elementem, łączącym ze sobą głownię i rękojeść, jest taszka (4). Pełni ona funkcję stabilizującą. Jeżeli zaś chodzi o samą głownię, to wbrew powszechnemu przekonaniu nie jest ona jednolita (złożona z jednego elementu – podłużnej, stalowej płyty). Rdzeń wykonany jest zazwyczaj z twardszego stopu niż pozostała część głowni. Dzięki temu nie zmniejszając w żaden sposób użyteczności miecza łatwiej jest go ostrzyć.

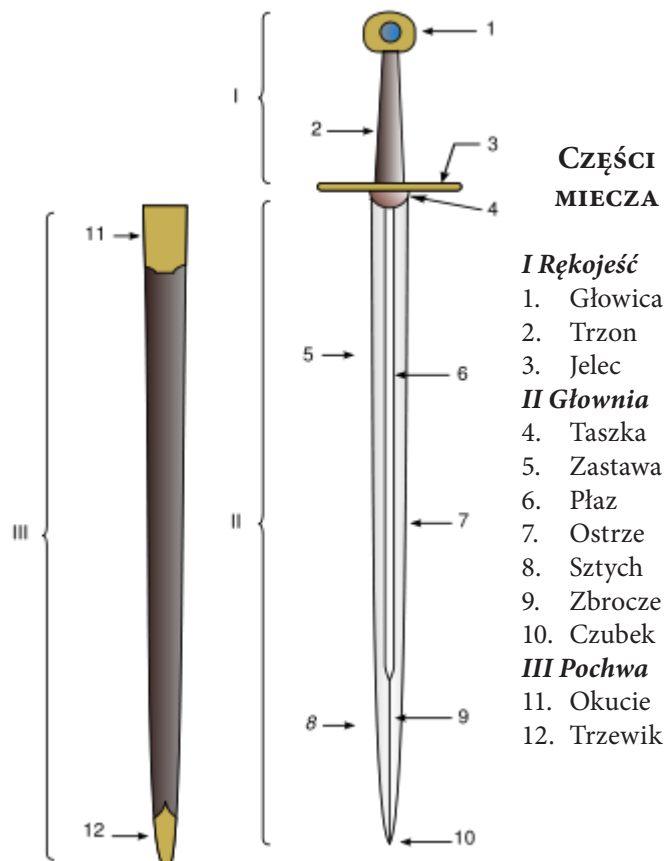
Należy również pamiętać, że nie wszystkie ciosy muszą być zadawane ostrzem (7) w ostrze. Istnieją specjalne techniki walki polegające na przyjmowaniu ciosu przeciwnika na płaz (6) i dopiero potem atakowaniu go ostrą stroną miecza. Płaz może ponadto, równie dobrze jak głowica, pełnić rolę obucha (broni, która zamiast ciąć miażdży) unieszkodliwiając jedynie przeciwnika, a nie zabijając go.

Nie zapomnijmy jednak o pochwie (III), która jest absolutnie koniecznym dodatkiem do każdego miecza. Z jednej strony chroni właściciela przed ewentualnym bliskim kontaktem z głownią własnej broni – zachowało się zaskakująco wiele zapisów o głupocie rycerzy, którzy potrafili się ciężko zranić lub nawet zabić, schylając się i nadziewając się w ten sposób przypadkowo na własny oręż – z drugiej strony chroni miecz.

Ważne jest również, że zanim włożymy broń do pochwy, trzeba ją najpierw naostrzyć – tępa broń, to nie broń, a nigdy nie wiadomo, kiedy może nam się przydać – oraz naołiwic, by zapobiec wytwarzaniu się rdzy.

Miecze a średniowiecze

Miecze odgrywały bardzo ważną rolę w średniowieczu. To właśnie w tej epoce doznały czasów swojej największej świetności. Nie wiem jak Tobie, drogi Czytelniku, ale mi pierw-



sze, co kojarzy się ze średniowieczem, to rycerz na rączym rumaku w pełnej zbroi – no a skoro w zbroi, to i z pewnością z mieczem u boku.

Co czyniło właśnie tę epokę tak wyjątkową, że nazywano ją „epoką miecza”? Otóż to właśnie wtedy rozprzestrzenił się po Europie jego kult. Oczywiście podstawową funkcją, którą miał spełniać miecz wciąż była walka, lecz czy jedyną? Nic bardziej błędnego. Otóż wraz z rozpowszechnianiem się tej broni zaczęto oddawać mu coraz większy szacunek. Nie był już narzędziem do zabijania – był bratem i towarzyszem niedoli. Miecze chrzczone, święcono, przysięgano na nie i przeklinano. Koronowano nimi i pasowano na rycerzy, nadawano im imiona, przemawiano do nich jak do ludzi – trwano w przekonaniu, że miecze mają duszę. Chcąc zwiększyć ich skuteczność w walce wypełniano głowicę ▶

► relikwiami świętych. Zaczęto również przywiązywać większą wagę do wyglądu broni – rękojeści były układane kamieniami szlachetnymi, a pochwy okuwane srebrem lub złotem. Sprawiało to nieraz, że miecz był całym dobytkiem, jaki rycerz posiadał.

Miecze były również symbolem statusu – skoro mam miecz, to gdzie nie pójde wszyscy wiedzą, że jestem rycerzem – a posiadanie ich wznacznikiem honoru. Rycerz, który utracił swój oręż, był przegranym rycerzem. Gdy chłopiec wchodził w wiek młodzieńczy ojciec darowywał mu swoją broń. Jedną jej sztuką potrafiła być dziedziczona przez wiele pokoleń (co niejednokrotnie czyniło ją kompletnie bezużyteczną, ale cóż począć – tradycja). Gdy ostatni męski potomek ginął łamano ją i chowano razem z nim do grobu.

Klasyfikacja i różne rodzaje

Miecze dzielimy na grupy ze względu na różne cechy, które posiadają. Najbardziej oczywistym wydaje się podział na miecze o głównej prostej i zakrzywionej. Wyznacza on jednocześnie sposób walki daną bronią – miecze o głównej prostej są najczęściej obosieczne, zaś w tych o głównej zakrzywionej zawsze używa się jednej strony. Miecze dzielimy również ze względu na ciężar, długość i rodzaj uchwytu – wyróżniamy tu jednoręczne, półtoraręczne i dwuręczne. Istnieje również podział biorący pod uwagę ich przeznaczenie – mogą być one sportowe lub bitewne.

MIECZ DWURĘCZNY

Miecze dwuręczne są zdecydowanie dłuższe niż zwykle. Do tego prawie trzy razy cięższe. W związku z tym czyniło to walkę takimi bronią-mimożliwą tylko dla żołnierzy pieszych. Szczególnie gustowali w niej gwardziści. Oprócz ciężaru i rozmiarów miecze te różniły się od pozostałych posiadaniem rękojeści przedłużonej o *ricasso* – dodatkowy trzon umieszczony też pod jelicem. Chwycenie za *ricasso* ułatwiało znacznie walkę na mniejszym dystansie, narażając jednak dłoń. Aby

temu zapobiec często rozbudowywano jelic tak, by zasłaniał ją całą. To właśnie miecze dwuręczne przyczyniły się w znacznym stopniu do rozprzestrzenienia się legendy o olbrzymim ciężarze mieczy bojowych. W rzeczywistości jednak nie przekraczał on zazwyczaj 3 kg.

MIECZ PÓLTORARĘCZNY

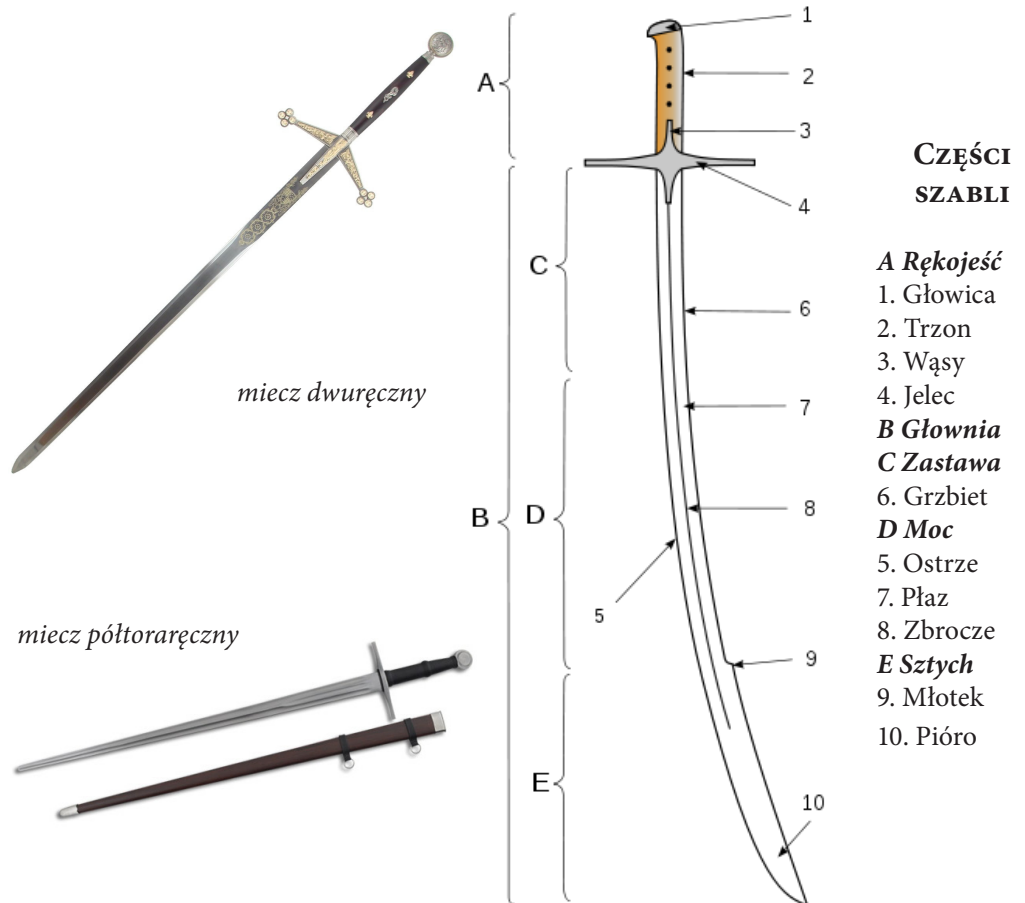
W zasadzie powinny być nazywane „długimi”. Nazwa „miecz półtoraręczny” spopularyzowała się dopiero niedawno, ze względu na cechy tego rodzaju oręża czyniących go czymś pomiędzy bronią jedno- a dwuręczną. Miał masę zbliżoną do masy miecza jednoręcznego (tj. około 1,5kg). Był nieznacznie dłuższy, jednak wciąż krótszy od dwuręcznego. Posiadał również *ricasso*, które umożliwiało chwycenie go oburącz, jednak nie zawsze był to pełny chwyt – w wielu przypadkach część dłoni spoczywała na główicy. Była to broń bardzo wygodna w użyciu, gdyż zależnie od napotkanego przeciwnika można było schwytać broń oburącz zyskując na sile oraz szybkości lub jednorącz uzyskując większy zasięg. Z tego powodu bardzo długo używano go w pojedynkach. U schyłku średniowie-

cza najpopularniejsza była jednak nazwa „miecz bastardowy” wywodzącego się od francuskiego słowa *bastard* (dosł. ‘drań, bękart’). Nazywano go tak, gdyż walka nim, w porównaniu do walki innymi broniąmi, była prostsza, wygodniejsza i skuteczniejsza, co skłaniało wielu do uznawania ją wręcz za mniej honorową.

SZABLA

Rękojeść (A) szabli nie różni się od rękojeści standardowych mieczy. Funkcję taszki przejęły w niej tzw. „wąsy” (4). Ponadto możemy wyróżnić trzy typy rękojeści: otwartą – standardową (jak na rysunku poniżej), półotwartą – z kłębakiem osłaniającym dłoń oraz zamkniętą – z wieloma kłębakami tworzącymi kosz

Znaczne różnice zaczynają się pojawiać dopiero przy analizie głównej (B). Szabla jest mianowicie zakrzywiona, co czyni ją bronią jednosieczną. Poza tym jej krawędzie nie są równe – w ok. $\frac{2}{3}$ długości głównej, na granicy mocy (D) i sztychu (E), szabla posiada wcięcie nazywane młotkiem (9). W połowie długości mocy znajduje się również zbrocze (8). Według powszechnej opinii służy ono temu, by sphywała ►



► nim krew pokonanych przeciwników. Nic bardziej błędnego! Zbrocze to płytkie, podłużne wgłębienie, które służyło zwiększeniu sztywności szabli przy jednoczesnym zmniejszeniu jej ciężaru. Ciekawostką jest również, że najostrzejszym elementem głowni jest sztych, w którym dodatkowo wyszlifowane jest jeszcze pióro (10). Miało to swój konkretny powód. Mianowicie, gdy widzimy jak dwójka ludzi pojedynkuje się na szable, to zazwyczaj jeden z nich przegrywając otrzymuje cios ostrzem (5). Jednak w rzeczywistości sztuka polega na zadaniu rany piórem. Dzięki temu otrzymujemy możliwość odsunięcia się od przeciwnika o ok. 30cm dalej (to naprawdę ma spore znaczenie) oraz pewność, że nasza broń nie ugrzęźnie w martwym lub rannym przeciwniku.

RAPIER

Broń tę zaczęto produkować, gdy powstała potrzeba na poręczną broń, którą każdy mógł przy sobie nosić i na którą każdego było stać. Bardzo modna, gdy w XVIIw. w Europie nastąpiła moda na pojedynki – umożliwiała walki w niewielkich pomieszczeniach i osiągnięcie niezwyklej precyzji w zadawaniu ciosów. Charakterystyczną cechą rapiera jest przede wszystkim długość i wąskość jego głowni. Jest minimalnie dłuższy od szabli. Posiada wyjątkowo rozbudowany kosz oraz profilowaną rękojeść, w którą wkręcana jest głownia. Ciekawe jest, że głownia jest wykonana z jednolitego kawałka metalu. Czyni ją to znacznie cięższą niż w przypadku zwykłego miecza. W związku z tym, dla równowagi, dodatkowo obciążona została głownia. Czyniło to rapier bronią bardzo trudną w użytku. Trzeba



szpada



katana



no-dachi

było być naprawdę zręcznym szermierzem, aby sprawnie się nią posługiwać. Poza tym, mimo że obecnie uważa się, że rapier służył wyłącznie do pchnięć, pierwotnie służył również do cięć. Jego głownia zwęża się równomiernie aż do ostrego sztychu. *Ricasso* jest tutaj umieszczone ponad krzyżem, kładzie się na nim wskazujący palec podczas walki. Głownia zwęża się nie bez powodu. Szerszy fragment u nasady zwany *forte* służy do zbijania ciosów, zaś cieńszy *foible* do ich zadawania. Walka tą bronią wymaga wielkiej wprawy, lecz jest bardzo skuteczna. Z czasem użyteczność rapiera zmalała – częściej korzystano z jej lżejszego i poręczniejszego odpowiednika, legendarnej broni królewskich muszkietierów – szpady (widocznej na rysunku powyżej). Jest pierwowzorem obecnych broni wykorzystywanych w szermierce sportowej.

KATANA

Po japońsku wyraz 刀 (czyt. *katana*) oznacza dosłownie „miecz”. Pierwotnie pojęcie to stosowano również w odniesieniu do mieczy produkowanych w Europie. Jednak nastąpiła moda, by wyrażenia 刀 używać tylko dla mieczy japońskich. W związku z tym jako zamiennik powstało słowo 剣 (czyt. *tsurugi*) określające ogół mieczy. Katana zazwyczaj ma kształt będący wycinkiem elipsy, dlatego często niepoprawnie klasyfikowano ją jako

szablę. Trzon pokrywany jest chropowatą skórą zwierzęcą zapewniającą pewny chwyt. Wydawać by się mogło, że ta osławiona broń samurajów jest piękna w swojej prostocie. Jednak jest to prawdopodobnie najbardziej skomplikowany miecz na świecie. Warstwa z lepszego metalu na zewnątrz skrywa nieregularny zbitek rdzeni różnej grubości, długości oraz kształtu, niejednokrotnie wykonanych z materiałów różnej twardości i wytrzymałości. Każdy z tych małych kawałków służy pewnemu konkretnemu celowi czyniąc walkę kataną sztuką niezwykle trudną do opanowania. W katanie rzadko pojawia się jelec, a jeśli już, to jest on mały i okrągły. Traktowano go bowiem jako zbędny balast, utrudniający w dodatku posługiwanie się mieczem. Zaokrąglona budowa katany czyniła go bezużytecznym – można było trafić przeciwnika w dłoń omijając go. Jest wiele różnych rodzajów katan, od najmniejszych (ok. dwóch *shaku*) aż do potężnego dwuręcznego *no-dachi* (widocznego na rysunku powyżej) osiągającego długość aż pięciu *shaku* (japońska jednostka długości – 1 *shaku* to ok. 30,3cm).

GLADIUS

Nazwa tego miecza (łac. *gladius* „miecz”) wzięła się najprawdopodobniej od gladiatorów, którzy bardzo chętnie z tej broni korzystali ze względu ►



rapier

Sytuacja dzieci w Sudanie Południowym

Praca – Mali Sudańczycy od najmłodszych lat muszą ciężko pracować. Pomagają, żeby rodzina mogła przetrwać. Dziewczynki zajmują się młodszym rodzeństwem, przynoszą wodę, robią pranie, sprzątają i zbierają owoce leśne, kiedy nie ma co jeść. Chłopcy natomiast pasą bydło i naprawiają sieci. Nawet nauka nie zwalnia dziecka z obowiązku pomocy rodzicom. Uczące się dziecko swoją pracę musi wykonać przed lekcjami i po lekcjach – np. przynieść wodę rano i dwukrotnie przed wieczorem (na ogół studnia znajduje się daleko od domu).

Szkoła – Jednym z powodów nie uczęszczania dziecka do szkoły jest brak czasu. Jeśli podejmuje naukę, to tylko wtedy, gdy nie koliduje ona z obowiązkami domowymi lub gdy te obowiązki przejmuje młodsze rodzeństwo. Nie jest rzadkością, że dopiero dziesięcioletnie dziecko rozpoczyna naukę w szkole. Inną przeszkodą w podjęciu nauki jest brak pieniędzy i zbyt duża odległość do szkoły. Największym jednak utrudnieniem jest brak szkół i nauczycieli.

Zabawki – Na ogół dzieci nie mają zabawek, ponieważ rodziców nie stać na taki luksus. Ponadto nie mają czasu na zabawę. Niektóre dzieci same robią sobie zabawki. I tak czasem można spotkać chłopca bawiącego się blaszaną ciężarówką zrobioną z puszki po oliwie. Inny biega z bambusowym kijkiem, do którego przymocował denko od jakiejś puszki. Na twarzach tych chłopców widać ogromną radość, kiedy biegają ze swoimi skarbami.

Marzenia – Marzenia sudańskich dzieci nie dotyczą zabawek. One marzą o mundurkach szkolnych, możliwości chodzenia do prawdziwej szkoły, a nie tylko takiej pod drzewem. Nauka bowiem ma dla nich największą wartość.

We wspólnocie Liceum Staszica pomoc dla dzieci z Sudanu Południowego będzie zbierana w dniu 2 lutego 2012 (czwartek). Szczegółowe informacje będą przekazane w pierwszym tygodniu po feriach, od wtorku do czwartku.

Marek Malisiewicz

Modlitwa z inicjatywy Stowarzyszenia Wychowanków Szkoły im. Stanisława Staszica.

W niedzielę 8 stycznia, o godz. 19.00 została odprawiona uroczysta Msza Święta w dawnym kościele szkolnym pw. św. Apostołów Piotra i Pawła przy ulicy Emilii Plater róg ulicy Wspólnej. Była to modlitwa w intencji śp. Stanisława Staszica, Dyrektorów, Nauczycieli, Wychowawców i Pracowników oraz Wychowanków Szkoły Realnej, Gimnazjum i Liceum im. S. Staszica, TPD 2, XIV LO im. K. Gottwalda, XIV LO im. S. Staszica w Warszawie oraz śp. Stanisława Lipińskiego (wieloletniego nauczyciela, którego pogrzeb odbył się 5 stycznia 2012 r.).

Inicjatorem dorocznej modlitwy było Stowarzyszenie Wychowanków Szkoły im. S. Staszica w Warszawie. Wśród wychowanków Liceum Staszica jest również grono księży. Mszy św. rocznicowej przewodniczył ks. prałat Tadeusz Bożełko (proboszcz parafii św. Stanisława Kostki na Żoliborzu; od ponad roku jest to Sanktuarium Błogosławionego Księdza Jerzego Popiełuszki). Kazanie wygłosił ks. prof. dr Grzegorz Bartosik, franciszkanin z Niepokalanowa, lider polskich mariologów i prezes Polskiego Towarzystwa Mariologicznego (PTM). W koncelebrazie uczestniczył również ks. Szymon Petryka, który prowadzi katechezę w Liceum Staszica. Podczas modlitwy posługiwali również uczniowie Liceum Staszica (ministranci, lektorzy, śpiew). Wspólnie z wychowankami modlili się uczniowie, nauczycieli i przedstawiciele dyrekcji Liceum Staszica.

Rok temu została wmurowana w kościele pamiątkowa tablica, która informuje, że wspólnota szkolna jest związana z tym kościołem (jest to dawny kościół szkolny). Od wielu lat Liceum Staszica opiekuje się – od strony duszpasterskiej – Parafia Najświętszego Zbawiciela.

Marek Malisiewicz

► na mnogość jej możliwości. Jednak była broń powszechnie wykorzystywana również przez legionistów broń. Ten niepozorny miecz służył zarówno do pchnięć, jak i cięć, a brak jelca oraz konstrukcja głowni umożliwiały skuteczne łączenie tych dwóch technik walki. Głownia była prosta i szeroka, w długości osiągała od 60cm do 100cm. Długość gladiusów zwiększała się stopniowo od III w. p.n.e. aż do III w. n.e. i w drodze ewolucji broń ta przekształcała się w swoją później używaną, dłuższą formę zwaną *spatae*. Mimo możliwości



walczenia obiema technikami, częściej używano pchnięć. Wynikało to ze sposobu walki legionistów rzymskich. Idąc w szeregu, trzymając w lewej ręce tarcze, a w prawej wyciągnięte przed siebie miecze, mogli zadawać szybkie pchnięcia przeciwnikom, nie potrzebując do tego dużo miejsca oraz wystawiając się na mniejsze ryzyko. O zastraszającej skuteczności gladiusów przekonali się m.in. Celtowie, których długie, sieczne miecze, w starciu z bronią legionistów rzymskich, okazały się być kompletnie bezużyteczne.

Błogosławiony Jan Paweł II jako dziennikarz i (współ)redaktor cz. I

MAREK MALISIEWICZ

Błogosławiony Jan Paweł II kieruje przesłanie do redaktorów i czytelników miesięcznika Staszic Kurier. Czy to możliwe? Może warto to przesłanie rozważyć np. w okresie ferii zimowych. Czy jest ciągle aktualne (choć jeszcze nieznanne) to przesłanie papieskie? Omówienie doktoratu Doroty Narewskiej, cz. 1.

Główna teza doktoratu: Karol Wojtyła w latach 1938-1978 sformułował wizję dziennikarstwa, która jest w duchu karmelitańskim. W wyniku badań dr Doroty Narewskiej możemy zrozumieć, że błogosławiony Jan Paweł II w okresie krakowskim (po doktoracie w Rzymie) dążył do dwóch rzeczy: zmiany świadomości dziennikarza i zreformowania jego warsztatu pracy.

W wielu obszarach swoich zainteresowań szukał łączącej zewnętrzną i wewnętrzną świat „szczeliny”. Była nią duchowość osoby, „(...) bo tylko na kanwie duchowości – mówił w 1949 roku – daje się pojąć świadomość, zwłaszcza zaś samoświadomość i wolność. One zaś obie warunkują odpowiedzialność”. Myśl, że osoba jest bytem duchowym, pochłaniała Karola Wojtyłę (najpierw księdza a później biskupa, arcybiskupa i wreszcie kardynała; najpierw doktora teologii a później profesora etyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim).

„Szczeliną” łączącą od dzieciństwa zewnętrzną i wewnętrzną świat Wojtyły była duchowość karmelitańska, akcentująca życie ukryte. Myśl, że nie samym chlebem żyje człowiek, ale duchem, który w nim mieszka, była żywym i ważnym doświadczeniem Wojtyły. Szanował przekonania drugiego człowieka, w wieku dojrzałym nie zwalniał się z zabiegania o spełnienie każdego człowieka w Chrystusie. Zabiegał o inteligencję, szczególnie o inteligencję twórczą, o dziennikarza i redaktorów, zdając sobie sprawę, że najważniejszym ich zadaniem jest spełnienie czytelnika w Chrystusie.

Pragnął dla każdego człowieka życia wypełnionego życiem Bożym (z łaski). Działanie łaski Wojtyła doświadczał na sobie za sprawą świętych Karmelu. Decydujące znaczenie miało spotkanie i przyjaźń duchowa

z tercjarzem karmelitańskim Janem Tyranowskim – od około 1940 roku. Osoba, która wspinając się na mistyczną Górę Karmel, „wojuje sama z sobą”, wzbudzała największe zainteresowanie Wojtyły, który „takie wojowanie” błogosławił. I tylko takie wojowanie. Walka z własnym ego, z wadami, by czynić przestrzeń dla Boga, wzbudzała w nim większe zainteresowanie, niż wojowanie z systemem totalitarnym.

Teza pracy doktorskiej: idąc za głosem kapłańskiego powołania, Wojtyła dobrowolnie zrezygnował z licznych talentów, poza jednym, pisarskim, który zamierzał zaprząć do służby Słowu Bożemu. Jednak jego działalność dziennikarsko-redaktorska nie spełniła się ze względu na przyjęte przez niego wysokie standardy, z których nie chciał zrezygnować nawet jako początkujący publicysta. Jako papież poradził jednemu dziennikarzowi „Tygodnika Powszechnego”, który przeżywał trudności w pracy z powodu przyjętych przez siebie standardów, że gdy historia zaczyna płynąć „przeciw prądowi sumień”, należy złożyć swój talent na ofiarę, to znaczy należy przestać pisać, lub – co Wojtyła sam wybrał w związku z tym, że miał w PRL do czynienia z elitarnym katolickim piśmem – zacząć pisać inaczej.

Dziennikarsko-redaktorski „kręgosłup” Wojtyły uformowały okoliczności związane z publikacją próby jego refleksji nad „żywołami katolicyzmu” francuskiego, belgijskiego i holenderskiego. Studium porównawcze pt. „Katolicyzm uporu” nie ukazało się w 1949 roku, kiedy Wojtyła napisał je, ale dopiero po pięćdziesięciu trzech latach, bowiem redaktorzy odrzucili ten tekst. Redakcja „Tygodnika Powszechnego” nadała mu tytuł, który w jakiś sposób charakteryzuje dojrzenie początkującego publicysty – po-

stanowienie uporczywego trwania przy uznanych standardach życia.

Można powiedzieć, że – paradoksalnie – sukces okazał się porażką Wojtyły jako publicysty, a publicystyczna „porażka” – zwycięstwem. Tłumaczył Wojtyła w jednym z kazań: „...moje «ja» ma taką ważność względną funkcjonalną. Ale również czujemy, że to moje «ja» ma także jakąś ważność bezwzględną. [...] I my żyjemy takimi momentami ważności względnej człowieka; względna ważność człowieka: jakiś złoty medal czy srebrny. [...] Ile razy nawiązujemy kontakt z Bogiem, wówczas odnajdujemy swoje «ja» w jego ważności bezwzględnej. [...] Jeżeli by [...] usunąć z człowieka stosunek do Boga, to wówczas życie ludzkie niejako rozpadnie się na cały szereg spraw, które mają ważność tylko względną. [Człowiek] stara się nadać ważność bezwzględną różnym przedmiotom, wartościom posiadającym ważność względną. Można powiedzieć, że je absolutyzuje, podnosi do rangi absolutu. [...] Jest w tym jakaś nemezis, coś głębszego niż nemezis, [...] po jakimś czasie to się zaczyna mścić jakby samo na sobie. I szybko detronizuje to, co [człowiek] wyniósł do godności Boga” (K. Wojtyła, *Do młodzieży akademickiej (I)*, 9-14.04.1962. In: *Kazania. 1962-1978. Przedm. A. Bardecki. Kraków: „Znak” 1979 s. 157-161*).

Oceniając rzeczywistość, Wojtyła nieustannie uzgadniał dwa punkty widzenia. Świat bytował u niego na przecięciu horyzontalnej i wertykalnej linii: „Historia człowieka rozwija się w wymiarze horyzontalnym w przestrzeni i czasie – pisał. Jednak krzyżuje się z nią również wymiar wertykalny. Nie tylko ludzie piszą historię. Razem z nimi pisze ją także Bóg. Od tego wymiaru historii, który możemy nazwać transcendentnym, zdecydowanie ▶

► odeszło oświecenie. Kościół natomiast nieustannie do niego powraca” (Jan Paweł II, *Pamięć i tożsamość...*, 2005, s. 157). Jan Paweł II tłumaczył mechanizmy prowadzące do „błędu horyzontalizmu”, który powstaje wówczas, gdy sądzi się, że „Kościół to my w Chrystusie”, zapominając, że – owszem – my, ale pod pewnymi warunkami: „o tyle, o ile” uczestniczymy w Jego troistym posłannictwie Proroka, Kapłana i Króla.

Wojtyła uprawiał dziennikarstwo, świadomy ciężącej na nim misji ewangelizacyjnej. W licznych artykułach poruszał najgłębsze – jego zdaniem – „sprawy człowieka”, tj.: grzech i łaska, upadek i powstanie, klęska i zwycięstwo odnoszone w Jezusie Chrystusie. Pisał o ciele, duszy, umyśle, wolnej woli, sumieniu, świadomości moralnej – bo to wszystko jest w człowieku, o „składnikach” ludzkiej istoty i o jej syntezie, bo człowiek to mikrokosmos – mały wszechświat. Pisał, że wszystko w człowieku powinno być uporządkowane: ciało-materia jest podporządkowane duchowi; w obrębie ducha wola idzie za rozumem; stąd wynika: sumienie, świadomość i odpowiedzialność moralna człowieka, fakt moralności. Pisał o chrześcijaństwie z jego wewnętrznym światem, z jego świadomością, wolą i wyborem”. Pisząc o człowieku, pisał o Chrystusie, pisząc o Chrystusie, pisał o Kościele, który – podkreślał – jest w „stanie posłannictwa wszere” oraz nieustannie „w stanie posłannictwa w głąb”. W licznych artykułach podkreślał, że zdolność przyjęcia przez osobę „(...) w sobie życia Bożego jest szczytem ludzkich możliwości”. Ta zdolność znaczy niepomiarnie więcej, niż cała przyrodzona zdolność tworzenia kultury (choć nie ulega wątpliwości, że udział w życiu Bożym nie podcina kulturotwórczych uzdolnień człowieka, ale je w nowy sposób kształtuje i pobudza).

Ten, który zapamiętany został przez współpracowników jako osoba nie lubiąca manifestować swojego wewnętrznego świata, zaproponował krakowskim dziennikarzom – a poprzez nich wszystkim dziennikarzom – wejście w świat jego ducha za przyczyną swoistej dla niego wizji dziennikarstwa zakorzenionej w duchowości karmelitańskiej. Cała twórczość dziennikarska

Wojtyły i jego postawa (współ) redaktora przeniknięta jest wezwaniem skierowanym do katolików, by zachowali żywą wiarę, a tym samym zawiera przestrożę, że jeśli nie będą pielęgnować życia wewnętrznego w sobie, nie ostoją się. Jako (współ) redaktor pragnął, by „... grupa inteligentka i redagująca pismo przeznaczone dla inteligencji, posiadająca styl myślenia, odczuwania i przeżywania spraw religijnych odmienny od stylu szerokich mas ludowych”, służyła całemu narodowi.

Jako dziennikarz stosował w swoim warsztacie pracy dwie metody równocześnie. Są one analogiczne do tych, które obowiązywały w średniowieczu: monastyczna i scholastyczna. Na gruncie teologii przyczyniły się one do powstania dwóch modeli uprawiania średniowiecznej teologii. Model monastyczny zakładał przygotowanie literackie, by w sposób duchowy móc medytować przepełnione nadzieją Słowo Boże, natomiast model scholastyczny opierał się na logice myślenia, wnioskowaniu łączącym wiarę i rozum, co w średniowieczu wyrażało się w stawianiu tzw. kwestii (questo) „za” i „przeciw”.

Chcąc „wstrząsnąć” czytelnikiem, osiągnąć zamierzony wydźwięk publicystyczny, Wojtyła posługiwał się w artykułach obiema metodami. Niekiedy pytał retorycznie, kiedy indziej mnożył pytania, ale nigdy nie pozostawiał czytelnika w beznadziei, bowiem „(...) tajemnica paschalna potwierdza, że ostatecznie zwycięskie jest dobro; że życie odnosi też zwycięstwo nad śmiercią; że nad nienawiścią triumfuje miłość”. Ukazywał głębszy sens wydarzeń, które kontemlował.

Wojtyła zdawał sobie sprawę, że zadaniem katolickiego publicysty jest rozważanie, ocenianie i „(...) kontemlowanie Boga i świata i wszystkich wydarzeń – wielkich i małych, które w nim zachodzą”, ale również apelowanie do świata, nie dopuszczając, by tylko duchowni nieśli brzemień profetycznego zadania formowania ludzkich sumień. Aby jednak dziennikarze mogli formować czytelników, zaproponował krakowskiej redakcji zmiany w warsztacie pracy oraz permanentną formację osobistą za przyczyną „narzędzia” uświęcenia, jakim był jako „przełożony kościelny” dziennikarstwo tygodnika.

Po wielu latach współpracownicy z „Tygodnikiem Powszechnym” Wojtyła, dziennikarz i (współ) redaktor, poczuł się osobą uprawnioną do sformułowania zasad działania. Do ich stosowania zachęcał dziennikarza w sposób nieautorytarny, za pomocą argumentów, a nie nacisku.

Jako personalista nie dążył do zmian kadrowych, mając na uwadze osobę bardziej niż sprawę, w którą była uwikłana, a nawet bardziej niż jej prawdę. Jako papież przyznał jednak, że „nie dość” rządził, co wynikało – jak tłumaczył – z jego usposobienia. Pragnął być na niwie dziennikarstwa apostołem tak skutecznym jak Jan Tyranowski na gruncie szkoły duchowej, którą ten karmelitański świecki mistyk stworzył dla setki młodzieńców. Był on dla Wojtyły wzorem apostoła „przenoszącego procesy łaski”. Podziwiał, że udawało mu się to, co jest najtrudniejsze – przekonanie człowieka do przyjęcia prawdy, czyli do zmiany „ja”, do „wyjścia z siebie”. W artykule, poświęconym osobie Jana, podkreślał ogromną różnicę, jaka zachodzi między tym, co głosi apostoł taki jak Tyranowski, a tym, co głosi ktokolwiek inny. Różnicę tę można jedynie zauważyć – akcentował – po zmianie dotychczasowych, naturalnych możliwości odbiorcy, a co za tym idzie, po zmianie jego postawy. Wojtyła pragnął – podobnie jak Jan – wywierać swoją osobą wpływ na innych. Wrażenie robiło na nim to, że Tyranowski „(...) wszystkiego dokonywał tym jakimś ciężarem swego życia wewnętrznego” (K. Wojtyła, *Apostoł. [O Janie Tyranowskim]. „Tygodnik Powszechny” 1949 nr 35 s. 8-9*).

Pragnął – za przyczyną Matki Bożej Królowej Karmelu – zrealizować w swoim życiu i pracy dziennikarsko-redakcyjnej oraz do takiego apostołstwa pragnął zachęcić kolegów po piórze. Jego starania były bezskutecznie, mimo że dziennikarze uważają, iż metropolita krakowski miał „jasność w kierowaniu ludźmi” i lubił im „zlecać różne zadania” (A. E. Boniecki, *Boniecki Adam, ks. In: Centrum Myśli Jana Pawła II. Mediateka [online]. Warszawa: CM Jana Pawła II [ca 2007 dostęp: 6 stycznia 2010] www.centrumj2.pl/node/3996*).

Wojtyła wiele mógł i chciał nauczyć swoich kolegów po piórze, ale nie był przez nich zrozumiany, gdyż ►

► ustalał bardzo wysokie standardy, nie tylko natury moralnej. Pragnął wzbudzić w nich pragnienie życia wewnętrznego, tak jak sam został oświecony mistyką za sprawą J. Tyranowskiego, który zaświadczył, że tylko życie ukryte w Bogu jest godne chrześcijanina.

Zarówno personalistyczną wizję osoby ludzkiej, jak i personalistyczną wizję dziennikarstwa według Wojtyły ukształtowały określone realia historyczne PRL. Zaowocowało to znaną myślą pontyfikatu Jana Pawła II, że „(...) człowiek jest drogą Kościoła – drogą, która prowadzi niejako u podstawy tych wszystkich dróg, jakimi Kościół kroczyć powinien, ponieważ człowiek – każdy bez wyjątku – został odkupiony przez Chrystusa, ponieważ z człowiekiem – każdym bez wyjątku – Chrystus jest w jakiś sposób zjednoczony, nawet gdyby człowiek nie zdawał sobie z tego sprawy: «Chrystus, który za wszystkich umarł i zmartwychwstał, może człowiekowi przez Ducha swego udzielić światła i siły, aby zdolny był odpowiedzieć najwyższemu swemu powołaniu»” (*Jan Paweł II, Encyklika <<[...] u początku [...] papieskiej posługi, Redemptor hominis>> (4 III 1979), 14; dalej: „Redemptor hominis”*).

Na publicystyczną myśl Wojtyły i stosowane przez niego w dziennikarstwie prymaty wpłynęło to, że urodził się on trzy lata po tym, jak w 1917 roku rosyjski komunizm wypowiedział wojnę chrześcijaństwu,

a szczególnie Kościołowi katolickiemu; dwa lata po zakończeniu pierwszej (1914-1918). Gdy zakończyła się druga wojna światowa (1939-1945) miał dwadzieścia pięć lat. Pierwsza z wojen XX wieku była wydarzeniem przełomowym w historii Europy, gdyż wzięło w niej udział sześćdziesiąt pięć milionów osób z czternastu państw, a śmierć poniosła co ósma z nich. Podczas drugiej wojny życie straciło ponad sześć milionów Polaków, spośród siedemdziesięciu milionów wszystkich ofiar na kilku kontynentach.

Wojtyła doświadczył grozy totalitaryzmu jako młody mężczyzna, w pełni rozwoju swoich licznych talentów. Zmagał się z wieloma trudnościami wewnętrznymi i zewnętrznymi. 2 listopada 1939 roku, w liście do przyjaciela Mieczysława Kolarczyka, Karol pisał: „Dotąd w teatrze nie byłem, raz dla niezbytku forsy, a dwa, że myślę mało o tych imprezach”. Kilka miesięcy później, w liście z 28 grudnia zwierzał się: „Czytam, piszę, uczę, myślę, modłę się i walczę w sobie. Czasem okropny odczuwam ucisk, przygnębienie, depresję, zło. Czasem jakobym świtu dopatrywał, jutrzeńki, jasności wielkiej” (*Cyt. za: A. E. Boniecki, „Kalendarium życia...” s. 49*). Pytającym go w 1967 roku czytelnikom, dlaczego doświadczyli tak tragicznego losu podczas wojny, Wojtyła odpowiadał: „Pan Bóg ma prawo przeprowadzać nas, ludzi, przez takie próby, przeprowadzać przez nie naszą wiarę; przeprowadza przez próby

i poszczególnych ludzi, ale także i całe narody” (*K. Wojtyła, „Nawiedzenie” Matki Bożej Częstochowskiej. In: Id., Kazania. 1962-1978... s. 418*).

Lata męskie Wojtyły przypadły z kolei na odbudowę powojennych zniszczeń i zmaganie się z komunizmem, drugim po nazizmie totalitaryzmem, który dotknął szczególnie Europę Wschodnią. Wiek dojrzały przypadł natomiast na próbę militarnych sił dwóch światowych mocarstw ZSRR i USA, które przez kilkadziesiąt pokojowych lat trwały w stanie zimnej wojny.

Paradoksalnie, wojenny czas sprzyjał tęsknocie za nowym stosunkiem do człowieka: „Nowe czasy» patrzyły przerażonym okiem na spowinowacenie człowieka w potopie okrucieństw wojennych. Nic dziwnego, że z mgławic dymów krematoryjnych podnosił się głos pogwałconej natury ludzkiej: Agnus Dei – qui tollis peccata mundi, dona nobis pacem (z łac. „Baranku Boży – który gładzisz grzechy świata, obdarz nas pokojem”). Ludzkość rozumie dziś, że wezwanie – «frontem do człowieka» – jest bodaj najbardziej aktualnym wołaniem, jest tym «być albo nie być» dla kultury humanistycznej” (*S. Wyszyński, List do redakcji „Tygodnika Powszechnego”. „Tygodnik Powszechny” 1952 nr 46 s.1*).

Opracował Marek Malisiewicz

Cykl w 5 częściach,
kolejna w następnym numerze.

Dorota Narewska: KAROLA WOJTYŁY WIZJA DZIENNIKARSTWA (1949-1978)

Rozprawa doktorska napisana w Instytucie Teologii Pastoralnej i Katechetyki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II w ramach specjalizacji Edukacja Medialna (2001-2008). Promotorem był ks. prof. dr. hab. Tadeusza Zasęę, rektor Katolickiego Uniwersytetu w Rużomberku na Słowacji.

Prace badawcze, na które Senacka Komisja ds. Nauki przyznała tzw. grant wewnętrzny (2008), trwały w latach 2006-2010. Obrona miała miejsce w Lublinie 30 października 2010 r. Recenzenci: ks. dr. hab. Andrzej Baczyński, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie oraz dr. hab. Karol Klauza, kierownik Studiów Podyplomowych Komunikowania Społecznego i Dziennikarstwa (Wydział Nauk Społecznych KUL Jana Pawła II).

Wydana przez Ośrodek Badań nad Myślą Jana Pawła II Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, w ramach serii wydawniczej pt. *Studia nad Myślą Jana Pawła II*, została uzupełniona o istotne informacje wynikające, m. in. z ogłoszenia przez Benedykta XVI dekretu o beatyfikacji Jana Pawła II w dniu 1 maja 2011 roku.

staszic **kurier**
on-line

ZAPRASZAMY!
kurier.staszic.waw.pl

Świat baśni



DOROTA WIŚNIEWSKA

Artykuł swój zacznę od zagadki. Co takiego stało się dnia 3 stycznia 2012 roku (dla nieogarniętych - był to wtorek). Zagadka może się wydawać niełatwa, nie chodzi mi bowiem o konflikt lekarzy i premiera, wyemitowanie 879 odcinka „M jak Miłość”, ani sytuację na giełdzie. O co więc chodzi? Tego dnia miała miejsce 120. rocznica urodzin Johna Tolkiena, angielskiego pisarza i filologa, znanego powszechnie jako autora „Władcy Pierścieni”.

Urodził się on (co niektórzy mogli to już policzyć) dnia 3 stycznia 1892 roku w nieistniejącym już dziś państwie na południu Afryki, a mianowicie w Oranii. Już jako dziecko zmierzył się z wieloma przeciwnościami losu. Jako roczny chłopiec został ukąszony przez tarantulę (kto wie, czy to nie dlatego olbrzymie, jadowite pająki pojawiały się potem w wielu jego dziełach), a cała go wtedy niańka. Niedługo potem, mając około trzech lat, chłopiec opuścił Afrykę i razem z matką oraz bratem przyjechał do Anglii. Jego ojciec, który został na miejscu, wkrótce zmarł, a zaraz potem zmarł też dziadek chłopca, co spowodowało problemy finansowe rodziny, która musiała przeprowadzić się na wieś. Prawdopodobnie ten okres w życiu chłopca, był później inspiracją w tworzeniu przez niego Shire.

W twórczości pisarza można znaleźć też wydarzenia i postacie inspirowane przez inne jego przeżycia. Na przykład niewątpliwy wpływ na jego twórczość miała historia miłości jego i jego żony- Edith. Tolkien poznał ją, mieszkając w pensjonacie, gdzie trafił dwa lata po śmierci swojej matki (zmarła ona w 1904 roku), ulokowany tam przez znajomego księdza. Wkrótce niepełnoletniemu Tolkienowi zabroniono się widywać z ukochaną, aż do skończenia 21. roku życia (czyli do osiągnięcia pełnoletniości). Oznaczało to dla zakochanych ponad trzyletnią rozłąkę, która jednak nie zniszczyła ich uczucia. Odbicie tych wydarzeń można znaleźć w „Silmarillionie” (chodzi tu o miłość

między Berenem i Lúthien).

Gdy Tolkien tylko osiągnął pełnoletniość, napisał do Edith, jednak w odpowiedzi od niej przeczytał, że jest już zaręczona. Długo to przeżywał, napisał do niej jednak jeszcze raz, gdyż w jej liście nie znalazł informacji, że kocha swego przyszłego męża. Gdy wkrótce się spotkali, Edith postanowiła zerwać zaręczyny.

W tym czasie w Tolkienie, za sprawą jednego z jego nauczycieli, obudziła się miłość do języków. Początkowo zainteresował się językiem staro angielskim, by potem zacząć czytać teksty średnioangielskie (później wydał słownik „Middle English Vocabulary”), a potem zająć się też językiem staronordyjskim i wieloma innymi- w 1911 rozpoczął studia w Oksfordzie, gdzie również zgłębiał tajemnice różnych języków. Pisarz, w późniejszym okresie, znał ponad 30 języków. Już w czasie młodości zaczął tworzyć swoje własne.

W swoich dziełach Tolkien tworzył odrębne języki dla kolejnych ras i plemion bohaterów. Tworzył też dokładne opisy topograficzne- bardzo dokładnie możemy określić topografię Śródziemia. Tworzone przez niego światy były dopracowane w każdym calu- niektórzy twierdzą, że naśladował w swej twórczości działania Stwórcy.

Może to i prawda? Sam Tolkien był głęboko wierzący- to dzięki jego matce, która wychowała go w wierze katolickiej. Sam Tolkien twierdził, że każda baśń powinna mieć przesłania ewangeliczne, to znaczy nieść pocieszenie. Nazwał też Ewangelię „istotą baśni”. Twierdził, że zarówno Ewangelia jak i mity oraz baśnie pokazują najgłębszą prawdę o świecie i człowieku, jego wiara z pewnością miała wpływ na późniejszą twórczość.

Tolkien brał udział w I wojnie światowej, co jednak nie miało bezpośredniego wpływu na jego twórczość. Jednak na wojnie zginął jeden z jego przyjaciół, co przyczyniło się potem do zawarcia przez Tolkiena w swoich

dziełach historii całego świata, aż od stworzenia- jego przyjaciół, tuż przez śmiercią, napisał bowiem do niego „Niech Cię Bóg błogosławi, mój drogi Johnie Ronaldzie, racz mówić rzeczy, które ja usiłowałem powiedzieć, jeszcze długo po tym, jak mnie już nie stanie, jeżeli taki miałby być mój los.”

W dziełach Tolkiena można też znaleźć ślady jego przyjaźni z Lewisem – autorem „Opowieści z Narnii”. Prawdopodobnie jej odbiciem jest przyjaźń między Legolasem, a Gimlim. Również Tolkien miał duży wpływ na Lewisa. Często spierali się o istotę baśni i mitów, które Lewis kiedyś nazywał kłamstwem. Lewis był anglikaninem i chociaż nigdy nie przeszedł na katolicyzm, dzięki Tolkienowi zmienił swoje spojrzenia na świat i Boga, można powiedzieć, że się nawrócił (za to żona Tolkiena została dzięki mężowi katoliczką).

Tak jak całe życie Tolkiena było naznaczone baśnią i wiele jego momentów znalazło potem odbicie w jego dziełach, tak nawet jego śmierć można połączyć z jego twórczością.

Najpierw zmarła jego żona – Edith, a on sam zmarł dwa lata później. Na grobie tych dwojga, poza ich imionami, znalazły się imiona Beren i Lúthien, wspomnianych już przeze mnie bohaterów „Silmarillionu” – dzieła, którego zresztą Tolkien nigdy nie skończył. Zmarł 2 września 1973 w Bournemouth, w Anglii i nawet data jego śmierci jest magiczna, baśniowa, bowiem czytana od tyłu daje nam kolejno liczby pierścieni przeznaczonych dla kolejnych ras.

„Trzy pierścienie dla królów elfów pod otwartym niebem,

Siedem dla władców krasnali w ich kamiennych pałacach,

Dziewięć dla śmiertelników, ludzi śmierci podległych,

Jeden dla Władcy Ciemności na czarnym tronie [...]”

John Ronald Reuel Tolkien
„Władca Pierścieni”

Dzieje narodu polskiego

Polemiki Kmicica ze Zwolinem część druga

Ale nie depreczcie przeszłości ołtarzy
Choć macie sami doskonalsze wzniesć
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I MIŁOŚĆ LUDZKA stoi tam na straży
I Wy winniście im cześć
Adam Asnyk

Kmicic

Naród, który nie szanuje swojej przeszłości nie zasługuje na szacunek terażniejszości i nie ma prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

Pisząc polemikę, muszę przede wszystkim określić z kim i dlaczego polemizuję. Otóż, przeglądając inauguracyjny numer „Staszic Kuriera” natknąłem się na artykuł Maćka Zwolińskiego: „Polacy – My? Oni? Czyli właściwie kto?”, w którym Autor przedstawia zaślyszane teorie nt. rodowodu narodu polskiego, a na ich (właściwie jej, bo głównie przedstawiona była jedna) podstawie wysnuwa daleko idące wnioski o historycznej roli Polaków, wszystko to zaprawiając przeciwstawieniem sobie trzech klas społecznych – mieszczan, chłopów („budowniczych nowej Polski”) i szlachty („innych”, których żywot zakończył się wiele lat temu). Jako osoba wychowująca się w atmosferze szacunku dla tradycji oraz historii „pańskiej Polski”, czuję się głęboko dotknięty lekceważącym tonem tego artykułu, a jako osoba interesująca się historią dziwię się tak licznym potknięciom faktograficznym i interpretacyjnym. Wszystko to sprawia, że uważam za swój obowiązek napisanie odpowiednich sprostowań oraz niejako skrzyżowanie szpady z Autorem tekstu. Wskutek narzucenia sobie takiej – polemicznej – koncepcji dziełę mą krótką pracę na 3 części poddyktowane analogicznymi w pracy mojego Adwersarza: w pierwszej zajmę się uporządkowaniem pojęcia narodu i spraw związanych z jego kształtowaniem, w drugiej omówię interesujące dla mnie analogie tez postawionych w artykule z tezami propagandy sowieckiej oraz niemieckiej, w trzeciej zanalizuję wnioski wyciągnięte wobec narodu jako takiego.

III

Zakończenie, z definicji, musi zawierać podsumowanie tego, co do tychczas się powiedziało i wysnuć ostatecznych wniosków. Zanim jednak to zrobię, spróbuję zanalizować wnioski wyciągnięte przez mego Dyskutanta tym bardziej, że wraz ze zbliżaniem się do końca (czyli do sugestii najbardziej ostatecznych) osiągają one coraz większy stopień abstrakcji. Na podstawie bezsensownej teorii powstania narodu² formułowana jest teoria społeczeństwa polskiego („pogermańscy” ->niemieccy->, obcy panowie kontra bliżej niesprecyzowani „Słowianie” <czyli co???,>, którymi rzekomo, w przeciwstawieniu do polskogermańskich „panów”, jesteśmy), na której z kolei budowane są negatywne oceny całego dorobku historyczno-kulturalnego Polski. W opinii Autora, wyjściem z tej sytuacji jest odrzucenie dziedzictwa „pańskiego” i wy-

korzystanie „nowej szansy”, jaką dostaliśmy po '89 roku do „startu od zera”. Przeprowadzony podział współczesnego społeczeństwa polskiego trąci mi retoryką sowieckiego Imperium, gdzie we wszystkich dokumentach była specjalna rubryka „pochodzenie” i to od niej, a nie od wartości danego człowieka, zależały często jego dalsze losy. Poza tym resztki monarchii stanowej zostały wykorzystane przez XIX wieczne uprzedmiotwienie i stopniowe przemiany społeczne. W nowoczesnych (mowa jest dalej o XIX wieku) miastach będących jednocześnie centrami przemysłu oraz wskutek wytworzenia się warstwy inteligencji rozpląnął się stan mieszczański, stan szlachecki został formalnie zniesiony w 1921 roku konstytucją marcową, dekompozycja „stanu chłopskiego” zaczęła się napływem robotników do miast w XIX wieku, a skończyła kolejnym napływem, po wytrzebieniu większości elit i zniszczeniu większości miast podczas

II Wojny Światowej, wskutek polityki komunistycznych rządców Polski. Praktycznie rzecz biorąc, mówienie w odniesieniu do XX wieku (szczególnie do jego II połowy) o „pochodzeniu społecznym” jest równie zasadne jak dzielenie ludzi na tych, którzy są potomkami patrycjuszów rzymskich i tych, którzy nimi nie są³, a rozpatrywanie społeczeństwa współczesnego w oparciu o „czynnik klasowy” jest równie bez sensu jak system, który to pojęcie wymyślił. Tak samo, niedorzeczne jest przypisywanie wszelkich możliwych wad polskich kulturze, obyczajowi, mentalności i w ogóle temu, co czyni nas Polakami (a jak wcześniej dowodziłem, nie ma innych, alternatywnych źródeł polskości niż, że użyję znowu tego sowieckiego określenia, kultura „pańskiej Polski”). Przypisywaniu, należy to dodać, tylko wad, tak jakby Polska i Polacy byli pozbawieni cech pozytywnych. Można, w takim wypadku, zadać pytanie: jakim więc sposobem ►

² Pal licha wszystkie merytoryczne zarzuty, ale czyż przez ponad 1000 lat nie zdarzyło się nic co przewróciło całą rzeczywistość co najmniej parę razy do góry nogami?! Nie widziałem w żadnej pracy podobnej bezczelności, która odnosiłaby świat sprzed tysiąca lat bezpośrednio do jakiegokolwiek daty od tamtych czasów aż do dnia dzisiejszego (znaczy: tak samo do dzisiaj, jak i do czasów sprzed 100, 300, 500 lat...). To tak jakby Starożytność przyrównać do Średniowiecza, Średniowiecze do Renesansu, Renesans do Baroku, Barok do Oświecenia, Oświecenie do XIX wieku, a XIX wiek do dzisiejszych czasów uznając, że wszystkie one miały tę samą specyfikę, tę samą mentalność, tę samą strukturę społeczną, tę samą gospodarkę, tę samą wiarę... dosyć. Chyba każdy potrafiłby odróżnić średniowiecznego rycerza od Rzymianina, XVII wiecznego kupca, XVIII wiecznego myśliciela czy XIX wiecznego rewolucjonisty, a pompejańską willę od zamku na Wawelu, dworu szlacheckiego, Empire State Building lub kamienicy. Świadectwa kultury materialnej są natomiast reprezentantami mentalności, stosunków społecznych, ustroju czy gospodarki epoki (powie to każdy archeolog, co więcej, na tym opiera się sens całej jego pracy). W końcu, przykład Rusi dowodzi całkowitego braku znaczenia kwestii pochodzenia w okresie większym, niż 200 lat – otóż tamtejsza dynastia Rurykowiczów (na tronie moskiewskim aż do „Wielkiej Smuty” początków XVII (!) wieku, np. car Iwan Groźny), jak i cała elita Rusi Kijowskiej była pochodzenia skandynawskiego, lecz nie przeszkadzało jej to w utrzymaniu swego znaczenia, mimo zmiennych kolei losu (rozbięcie dzielnicowe, najazd tatarski, kompletny rozpad państwa...), przez dobre 700-800 lat i w stanie się ikoną „początków Rosji” (np. Iwan Groźny, Iwan III Srogi) – czyli w zupełnym „zadomowieniu się”. Co więcej, takie „zadomowienie” było bardzo częste np. w XIX wiecznym Lwowie, gdzie urzędnicy austriaccy (gł. Niemcy) w trzecim pokoleniu byli już zupełnie spolonizowani, a ich korzenie stawały się, przy całym szacunku, tylko swego rodzaju „ciekawostką”.

³ Bardzo to nieprecyzyjny termin. Jeśli, jak dowodziłem wcześniej, nie ma innej kultury polskiej, niż ta, którą mamy, a którą Autor bezwzględnie krytykuje, to czym właściwie, według Niego, jesteśmy? Polakami? Nie, bo nie ma alternatywnych źródeł polskiej tożsamości. Niemcami, Rosjanami, czymkolwiek innym? Nie, bo jesteśmy w dostrzegalnym sposób inni od nich, poadto mamy własne państwo i odrębną specyfikę społeczeństwa... To czym jesteśmy?...

³ Albo, jak ujmuje to jeden z moich znajomych, na ludzi, którzy są stołem i tych, którzy nie są stołem.



► polskość zdołała przetrwać ok. 1000 lat, z czego przez ostatnie dwieście wystawiona na niemal ciągłą eksterminację warunki tak skrajne, że mało który z większych narodów miał „okazję” tego doświadczyć (zaborcy+II wojna+komunizm)? Po drugie, jakim sposobem Autorowi udało się znaleźć byt doskonały, bo doskonale zły, posiadający same wady, gdy życie z każdym krokiem uczy nas, że realnie istniejących bytów idealnych nie ma, że wszystko ma i wady, i zalety? Oba te zastrzeżenia wskazują, że jakby nie patrzeć, Polacy MUSZĄ posiadać jakieś zalety – inaczej nie przetrzymalibyśmy nawet połowy naszej historii. Jako przyczynek do dalszych wywodów przypomnę, iż Rzeczpospolita Obojga Narodów przez około 250 lat była jednym z głównych mocarstw tak regionu jak i całej Europy⁴. Musiała więc mieć to „coś”, by przez tyle czasu móc odgrywać taką rolę. Ponadto, w tamtym okresie przyjeżdżało tu (dziś powiedzielibyśmy: „imigrowało”) bardzo wielu różnych ludzi z najróżniejszych zakątków Europy – od Żydów poczynając, na rozmaitych innowiercach i wielu innych grupach czy pojedynczych ludziach, o nieraz przedziwnych losach, kończąc. Coś musiało spowodować, że zostali, wiążąc swoje życie (i życie swych ew. potomków) z tym krajem. W końcu, jeśli byliśmy w stanie nie tylko prze-

trwać ponad stuletni okres zaborów, tym dotkliwszy, że był to jednocześnie okres tak wielkich zmian gospodarczych i technologicznych, że wszystkie państwa i narody bez pozycji mocarstwowej zostały daleko w tyle, jeśli więc po tym stuletnim okresie i 4-letniej (a dla nas 6-letniej, bo do końca 1920 roku), krwawej wojnie byliśmy jeszcze w stanie odtworzyć własną państwowość z całkiem niezłym (jak na takie warunki) skutkiem, to raczej nie wzięło się to z powietrza.⁵ Jakie są więc te zalety i osiągnięcia polskie? Powszechnie uznaje się Rewolucję Francuską za początek systemów innych, niż absolutystyczne i mające korzenie w ścisłym feudalizmie, przynajmniej na obszarze Europy. Tymczasem, przed ową rewolucją istniały dwa państwa, w których władza monarchy była ograniczona na rzecz reprezentanckich zgromadzeń – jednym była Anglia, a drugim – Polska z Litwą. Można powiedzieć, że w przypadku polskim nie było pełnej reprezentacji, bo w rządach brała udział tylko Szlachta. Dobrze, ale czy w całej, ówczesnej Europie było inaczej? Powszechne prawo wyborcze powstało dopiero u końca XIX wieku, wcześniej we wszystkich krajach istniał jakiś census, przeważnie majątkowy, a systemy zachodnioeuropejskie uznaje się za bardziej „postępowe”, niż Demokracja Szlachecka w Rzeczypospolitej! „Anarchia” też nie stanowi szczególnego kryterium – np. Anglię w XVII wieku rozdzierały liczne wojny domowe o pozycję, czy wręcz samo istnienie króla w strukturach państwa. Natomiast prawa o wolności religijnej, nietykalności osobistej i majątkowej, opierający się na sejmikach samorząd, równość wobec prawa wszystkich obywateli-szlachciców, niezależnie od pozycji tytularnej, majątkowej i pozycji na dworze, czy zatwierdzanie wszystkich ważniejszych decyzji na Sejmie były rzeczywiście rewolucyjne, funkcjonując już ponad 200 lat przed rewolucją we Francji i to w sposób całkowicie „nierewolucyjny” – w Rzeczypospolitej nie zdarzył się przypadek królobójstwa, ani zbrojnego wydarcia władzy z rąk króla (w taki sposób, w jaki stało to się w Anglii

za czasów Cromwella, a we Francji z Ludwikiem XVI) – co więcej, takie tendencje były prawnie usankcjonowane jako prawo do wypowiedzenia posłuszeństwa królowi w pewnych, określonych przypadkach! Ten specyficzny sposób rządzenia krajem wywarł ogromne piętno na kulturze i tożsamości polskiej – zarówno pozytywne, jak i negatywne, lecz jako że mówię tutaj o zaletach – skupię się na jego pozytywnym oddziaływaniu. Ustrój I Rzeczypospolitej natchnął polską tożsamość wolnościowym, samorządnym duchem, który sprawił, że jak dotąd żadna władza legitymująca się przemocą nie ostała się tu zbyt długo, a w każdym razie nie była akceptowana. W nim ma korzenie również zdolność do niesamowitego jednoczenia⁶ się narodu, społeczeństwa, wobec zewnętrznego zagrożenia. Warto także zauważyć, że mimo różnych koncepcji (np. R. Dmowskiego), naród polski zawsze był bardziej wspólnotą świadomościową niż etniczną. Wspólnotą opierającą się na początku na posłuszeństwie, wspólnym władcy i prawie, a później na poczuciu wspólnoty i przynależności do narodu, niezależnie od etnicznego pochodzenia (z bardziej znanych osób np. M. Kopernik <Niemiec>, J. Piłsudski <z krwi Litwin, a nawet daleki potomek kniaziów>, K. O. von Habsburg, A. Neuwert-Nowaczyński <Niemiec>, A. Słonimski <Żyd>, J. Radziwiłł <z krwi Litwin>, A. S. kard. Sapieha <tak samo>). Podziw budzić musi blisko 200-letnia walka o ocalenie polskiej tożsamości i przywrócenie do istnienia własnego państwa – prowadzona z ogromnym poświęceniem, często przy braku perspektyw na realizację tych aspiracji, prawie zawsze przy wszelkich trudnościach, jakie tylko da się wymyśleć. Nadludzka determinacja, z jaką sztafeta istnienia narodu była kontynuowana, jest sukcesem samym w sobie (bo mało kto umie dochować się tak wiernych wyznawców swej sprawy), a tym większym, że swój cel odniosła i została przekazana aż do naszych rąk, dzisiaj. Wbrew pesymistycznym sugestiom mego Adwersarza, mamy więc z czego być dumni. ►

⁴ 250 lat (liczę: połowa XV wieku, początek XVIII wieku) – dużo to, czy mało? Prześledźmy może ile, szacunkowo, trwały okresy świetności nowożytnych potęg, by uzyskać jakieś pojęcie: Szwecja – niecałe 200 lat (przełom XVI i XVII wieku-I połowa XVIII wieku), Turcja – 200-250 lat (II połowa XV-koniec XVII wieku), Imperium Habsburgów – ok. 350 lat (ok. końca XV wieku-I połowa XIX wieku), Prusy (Hohenzollernowie) – ok. 200 lat (XVIII-początek XX wieku), Rosja carska – ok. 200 lat (Piotr Wielki-I Wojna Światowa), Hiszpania – ok. 300 lat (koniec XV wieku-przełom XVIII i XIX wieku), Francja – na wyrost 350 lat (XVI wiek-I poł. XX wieku), Anglia – ok. 350 lat (XVII wiek-I poł. XX wieku). Widać więc, że Rzeczpospolita nie odstaje od „normy” i spokojnie można wliczyć ją w „rejestr” mocarstw europejskich.

⁵ Tym bardziej, jeśli wziąć pod uwagę dzieje późniejsze – wielki wysiłek zbiorowy w zabójczych warunkach II Wojny Światowej oraz czasy po wojnie, gdy mimo wszechobecnej, piorzącej mózgi propagandy komunistycznej wybuchały protesty (np. 1956, 1970, 1976, 1980, lata '80), podczas których żądano nie tylko „chleba”, ale i „wolności”, jak liczne wcześniejsze pokolenia – wolnej Polski.

⁶ Ma to i swój drugi koniec – w tendencji do niesamowitego rozprężenia w chwilach powodzenia... ale jest to temat na osobną rozprawę, tym bardziej, że miałem rozważać jedynie zalety polskie (bo o wadach wspominał już mój Dyskutant, na co dzień zaś prawie zawsze możemy o tym usłyszeć...).

► Dziwnie i obraźliwie brzmi więc propozycja „startu od zera”. Dziwnie, bo jak starałem się pokazać, mamy już całkiem spory rachunek dodatni. Obrażliwie, bo bezwzględne wbijanie Polski w błoto (czy raczej w ten bardziej śmierdzący rodzaj błota...) jest oceną jednostronną, niesprawiedliwą i sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem (wszystko ma wady i zalety...). Zestawiona z wieloma bohaterskimi, w całości oddającymi się dla kraju postaciami, postawa Autora (jednym pociągnięciem pióra wbijającego ich wszystkich w..., przy mistrzowskim wręcz wykorzystaniu tricków propagandowych naszych zaborców), wywołuje

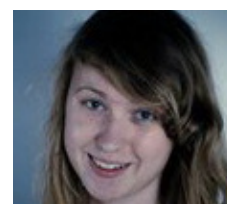
bardzo przykre odczucia, w dużym stopniu obrazując wpływ zbrodniczych posunięć Hitlera i Stalina w trakcie, a głównie po II Wojnie Światowej (wytrzebienie inteligencji <Katyń, Palmity, tragedia Powstania Warszawskiego, więzienia UB po wojnie>, faworyzowanie w nowych władzach ludzi stanowiących do tamtej pory margines społeczny <bo nikt inny nie chciał iść na współpracę>, wiele działań propagandowych i dezinformacyjnych) na myślenie Polaków o sobie samych. Jak bardzo nastawienie ludzkie ma znaczenie przy każdym działaniu, co rusz przekonuje nas historia. Na zakończenie oddaję więc głos wiel-

kiemu znawcy duszy ludzkiej – marszałkowi Piłsudskiemu: „Naczelnik państwa mówi, że musi wyznać, iż po wysłuchaniu panów może przyjść do przekonania, iż Polska się musi wyrzec wielkich celów, gdyż nie jest w stanie wyciągnąć energii. O ile wy (podkreśl. moje – K.) nie umiecie uderzyć w wielki dzwonnicy i zwycięstw, to spieszcie się z zawarciem pokoju.⁷ Warto zatem uwierzyć w siebie!

Część pierwszą i drugą polemiki mogliście przeczytać w poprzednich numerach SK.

⁷ Cyt. ze stenogramu posiedzenia Rady Obrony Państwa z 5.07.1920., wg.: Józef Piłsudski, „O państwie i armii”, t. 1, Wybór pism, wybrał i oprac. Jan Borkowski, Warszawa 1985; były to czasy Wojny Polsko-Sowieckiej, stąd więc słowa o „zawieraniu pokoju”.

Rok 2012



MARTYNA STYŚŁO

Rok 2012? Osiemnastki rocznika '94, Euro, Koncert RHCP, Coldplay, wreszcie Koniec Świata. Zapominamy jednak o esencji kulturalnej. Muzeum Narodowe powróci w maju.

Odczuwam ogromną radość z bycia świadkiem tak pozytywnych zmian w instytucji, która wydawała się „nie do ruszenia”. Smutna atmosfera, nieciekawe stałe ekspozycje, najnudniejsze lekcje muzealne, zmarnowane szanse, niewykorzystany potencjał i tak dalej i tak dalej.

Od najmłodszych lat dzielnie byłam zabierana na wszelkie ekspozycje czasowe i zawsze opuszczałam Muzeum zła, znudzona i głodna. Tradycja. Później sama zaczęłam kontynuować wycieczki. Tradycja również nie dawała za wygraną. Poczynając od chaotycznego Wyspiańskiego, przez nudne jak flaki z olejem siedemdziesiąt lat rodziwej archeologii w Egipcie, równie zajmujący orientalizm w Polsce, kończąc na biednej Zofii Stryjeńskiej. Miarka się przebrała na „Światłoczułych”, gdzie bezmyślność kuratorów przerosła wszelkie możliwe granice. Wystawa, która miała być hołdem złożonym fotografii, jej znaczeniu, bogatej historii, dorobku najwybitniejszych polskich

artystów przerodziła się w farsę i największy niewypał wystawowy. Nuda nuda nuda i jeszcze raz nuda. To jedyne słowo, które przez dłuższy czas kojarzyło mi się z Muzeum.

Listopad 2010. Agnieszka Morawińska przejmuję stanowisko dyrektora Muzeum. Po sprawnym zarządzaniu galerią Zachęta, wszyscy z nadzieją patrzą w stronę pani historyk sztuki, ambasadora Australii, Nowej Zelandii i Papui Nowej Gwinei, podsekretarza stanu w Ministerstwie Kultury, wreszcie, w stronę rzetelnego krytyka i eksperta w dziedzinie estetyki.

I nagle jakby coś się zmienia. 4 lutego 2011 roku wystawa „Chcemy być nowoczesni”. Wielki, ogromny sukces. Docenienie tego, co większość chciałaby wymazać z pamięci – designu z czasów PRLu. Kuratorzy wystawy stworzyli świetne tło historyczno-przeładowe opierając swoją tezę, jakoby nasze wzornictwo rzeczywiście było niezłe, na licznych przykładach, przykładach powszechnie kojarzonych (sztuce w samolotach LOTu!!!). Wystawa była jednak mała, ale zupełnie inne przygotowanie, prezentacja, a nawet tak prozaiczne rzeczy jak ładne broszurki, czy zgrabny kącik

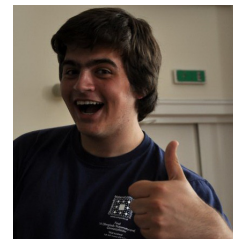
z pamiętkami zwiastowały wielkie zmiany. Pod koniec mogliśmy liczyć oswojenia modernizmu w Estonii, czy też Salonu Plakatów Polski. Muzeum Narodowe zamknęło się na kilka miesięcy.

Jednak i tu władze Muzeum wykonały doskonały ruch – odkurzyli Królikarnie i przenieśli część wspaniałych zbiorów do filii. Zachwytom nie było końca, ponownie chwaliliśmy się naszymi najświetniejszymi eksponatami.

Teraz czekamy. Ja jestem pełna nadziei. Muzeum zmienia całą identyfikację graficzną (konkurs trwa, aktualnie 3 projekty są w finale), logo, stronę internetową, ekspozycje, otwiera ogród, kawiarenki, bistro w klimacie Warszawy z lat trzydziestych. Muzeum zmienia się i otwiera na zwiedzających.

Teraz czekamy. Jubileuszowa wystawa „Wywyższeni. Od faraona do Lady Gagi”, Galeria Dawnej Sztuki Europejskiej i Staropolskiej, Galeria Portretu i Galerię Sztuki XIX wieku. W drugiej połowie 2012 roku – Galeria Sztuki Średniowiecznej oraz Galeria Sztuki Nowoczesnej i Współczesnej. Wróci też „Bitwa pod Grunwaldem” Jana Matejki. **Rewolucja!**

XX Finał WOŚP w Staszicu



JAKUB MROZEK

W ostatnią niedzielę, 8. stycznia, odbyła się XX Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Akcja ta jest tak dobrze rozreklamowana, że z pewnością każdy z was ją zauważył. Na każdym rogu ulicy zobaczyć można było wolontariuszy z puszkami – tych mniej lub bardziej biernych. Wszędzie były czerwone serduszka.

Nie chcę się tutaj rozpisywać o WOŚPie: ile pieniędzy zebrano, co gdzie się działo, jak udał się warszawski Finał. Mój osobisty stosunek do tej akcji jest bowiem dość krytyczny. Jurek Owsiak bez wątplenia robi sporo dobrego – problem polega na tym, że inne organizacje robią tyle samo, lub nawet więcej za mniejsze pieniądze – są więc bardziej efektywne. Każdy kto zrozumiał pojęcie kosztu alternatywnego wie więc, że każdą złotówkę wrzuconą do puszek można było spożytkować lepiej. Większość ludzi jednak ani tego pojęcia nie rozumie, ani nie przeznaczyło by tych pieniędzy na żadną bardziej efektywną akcję, choć tych ostatnich jest bardzo wiele. Zamiast tego np. kupiłoby sobie nowe buty. Zainteresowanych odsyłam do tekstu pt. „Zuzia potrzebuje pomocy” zamieszczonego we wrześniowym numerze SK – dostępny jest on na naszej stronie – kurier.staszic.waw.pl

To jednak nie jest aż takie ważne. Jak z pewnością wiecie, w Staszicu również był jeden z wielu sztabów WOŚPu. Na każdego, kto w niedzielę zjawił się w szkole czekało sporo atrakcji. Jedną z nich był turniej siatkówki, który oficjalnie rozpoczął się o godzinie 9:45. Konkurowało ze sobą 16 trzyosobowych zespołów złożonych z dwóch chłopaków i dziewczyny. Mecze odbywały się na połówkach boisk siatkarskich, równolegle w salach gimnastycznych gimnazjum i liceum. W turnieju brali udział nie tylko obecni uczniowie naszej szkoły – dużą frekwencją wykazali się również nasi

absolwenci, grała również przynajmniej jedna uczennica innego warszawskiego liceum. Po wielu rozegranych meczach, hektolitrach wylanego potu wyłoniona została zwycięska drużyna: FC Szmacianka, czyli Marta Smycz, Maciej Naduk i Maciej Romanowicz. Drugie i trzecie miejsce zajęły: Banana Volley II i Co ja gram? Szczegółowe wyniki dostępne są na stronie internetowej szkoły. Po zakończeniu turnieju rozegrany został pełnowymiarowy mecz Banana Volley vs. Reszta Świata.

Oprócz siatkówki, można było w niedzielę pograć w szachy lub w brydża. Zawody w tym drugim rozpoczęły się o godzinie 12:00. Przez trzy godziny

załapało. Wszelki dochód ze sprzedaży ciast, zarówno tych upieczonych przez sztab, jak i wielkim nakładem sił zdobytych w okolicznych cukierniach, oraz ewentualne datki zostały oczywiście przeznaczone na WOŚP. Reszta ciast została przekazana szkolnemu kołu Caritas, które sprzedało je w ciągu obecnego, zbliżającego się już powoli do końca tygodnia, przekazując zysk na leczenie chorej na autyzm dziewczynki – była to kontynuacja akcji z grudnia.

Sztab czuwał nad uczciwością i zaradnością 51 wyselekcjonowanych wolontariuszy, którzy potraktowali swoje zadanie poważnie i wspólnymi siłami



rozegrano 20 rozdań. Turniej poprowadził mistrz olimpijski, absolwent naszej szkoły Jacek Kalita. Zwycięzczyniami turnieju zostały Agnieszka Piesiewicz z klasy 2e i Marta Wójcik, nieuczęszczająca do Staszica.

Przez całą niedzielę w auli funkcjonowała ciesząca się wielką popularnością kawiarenka, gdzie można było zjeść mnóstwo przepysznych ciast oraz napić się wyjątkowo smacznej kawy. Ten ostatni fakt potwierdziło wiele niezależnych osób, myślę więc, że można im wierzyć i tylko żałować, że się nie

zebrali 34 369, 66 zł. Udało się wybrać ludzi, którzy nie kradli pieniędzy z puszek, co stanowiło bardzo istotny wkład w całość WOŚPu, ponieważ ten proceder w innych miejscach jest dosyć powszechny. Wszystkim gratulujemy!

Za sprawowanie pieczy nad przebiegiem Finału serdecznie dziękujemy p. Małgorzacie Lann vel Lace, p. Jolancie Zimnoch, p. Beacie Chłudzińskiej, p. Jackowi Banasikowi, p. Wiesławowi Łochowskiemu oraz p. Wojciechowi Radzickiemu.

zdj. Aleksander Małachowski

Su^Q od Vionca

3	9	1	4		6		
2			1		5		
		8					6
	3		7				
1		6	2		8	9	3
					1		4
5						3	
			5		4		1
			8		3	7	6
							5

5	9		2		4		
7			1		6		5
	3						
		3	6		2	5	8
8							4
	1	7	4		8	9	
						2	
1		5			3		6
			7		1		5
						5	8

2		4			8		9
9		1		7			
	5		9				4
	8			3		9	
		2	4		1	3	
		3		8			5
7					9		1
				6		5	7
6			8			2	
							3

Rysunek na okładce: Anna Bujak

Staszic Kurier

Redakcja

Staszic Kurier

XIV Liceum
Ogólnokształcące
im. Stanisława Staszica
ul. Nowowiejska 37a
02-010 Warszawa

kurier.staszic.waw.pl
kurier@staszic.waw.pl

Redaktorzy naczelni

Jakub Mrozek
Marian Wiatr

DTP

Michał Radek

Korekta

Kacper Bryskiewicz
Barbara Mroczek
Dominik Plewa
Michał Radek

Redaktorzy

Patryk Czajka

Patryk Chmielewski
Mateusz Dziurzyński
Igor Kotrański
Barbara Łazeba
Aleksandra Sosnowska
Martyna Stysło
Michał Wiąckowski
Dorota Wiśniewska

Grafika

Anna Bujak
Mateusz Dziurzyński
Magdalena Molenda
Michał Radek

staszic kurier